Rok 1900. Lwów, 2. września Nr 47.

TYGODNIK NARODOWY.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Klonowicza l. 3.

Treść Nr. 47:

W obronie ginącego ludu polskiego.

Narzekania na wynaradawianie się polskiego ludu w powiatach Galicyi wschodniej dawały się słyszeć oddawna, ale w ostatnich latach coraz częściej i już prawie z rozpaczą podnoszą się głosy, nawołujące do ratowania ginącego żywiołu. Głosy te powtarza prasa polska wszystkich odcieni, publiczność słucha ich z większem, lub mniejszem zajęciem i — na tem koniec.

A tymczasem proces wynaradawiania się Polaków na ziemi ojczystej postępuje dalej i nietrudno byłoby już oznaczyć czas, kiedy miljon polskiego ludu na wschodzie Galicyi, pod opieką autonomii naszej, wsiąknie w morze wzrastającego i czynnego rutenizmu.

Zawsze fantaści i skłonni do egzotycznych pomysłów, potworzyliśmy stowarzyszenia i instytucye dla zabezpieczenia narodowych potrzeb przymusowych wychodźców i dobrowolnych uciekinierów poza granicami ojczyzny, wyszukujemy najdrobniejsze kolonie polskie za morzami, ażeby im słać gazety, książki, nauczycieli, a z podziwu godną obojętnością patrzymy na to, co dzieje się we własnym domu naszym i zgoła nie szukamy nawet sposobów, ażeby ocalić lud polski, ginący w ojczyźnie. Tworzymy „nową Polskę“ w Paranie, a równocześnie niedbalstwem własnem tolerujemy, ba, wspomagamy dokonujący się rozbiór starej ojczyzny, w której żywioł nasz w sposób zastraszający traci grunt pod nogami!

Et haec facienda, et illa non omittenda!

Bagatelizując to gwałtowne zanikanie polskiego żywiołu na wschodzie, zapominamy, że będzie ono miało niebawem następstwa nietylko w narodowym, ale i w politycznym kierunku, o co już dzisiaj czynią się starania ze strony nam wrogiej.

Przed niedawnym czasem zamieściliśmy w „Tygodniku“ list polskiego kapłana z obwodu tarnopolskiego, zajmujący się tą, nad wyraz doniosłą sprawą. Dzisiaj znowu z innej strony, bo z obwodu stanisławowskiego dochodzi nas korespondencya jednego z obywateli wiejskich, na którą radzibyśmy zwrócić uwagę wszystkich ludzi dbałych o przyszłość narodu.

„Ubiegł mnie — pisze szanowny rodak — korespondent z Podola, pisząc o sprawie nader ważnej, bo o wynaradawianiu się Polaków, zamieszkałych w Galicyi wschodniej. Od trzech lat stałego mego pobytu w Galicyi przypatruję się tym stosunkom. Zdaje mi się, że stosunki polskiego ludu, zamieszkałego po wsiach i miasteczkach wschodniej części kraju, w niczem nie różnią się od stosunków, wśród jakich przebywa polska ludność na Bukowinie. Rozumiem tu jednaką ku nam niechęć i równie wrogie usposobienie większości ruskiej. Tylko tutaj łatwiejsze stosunkowo środki obrony, boć jesteśmy w kraju własnym, na własnej grzędzie, mamy rząd „swój“, mamy polski język w szkole, w kościele, w urzędzie, a i wiele innych czynników pomyślnych. Walka o byt Polaków na Bukowinie odbywa się wśród warunków trudniejszych i gdyby tam zgoła nic nie czyniono, to jeszcze dałoby się wytłumaczyć, ale u nas, gdzie działalność narodowa jest prostym obowiązkiem każdego, zaniechanie troski o lud polski na Rusi zasługuje na napiętnowanie bezwzględne i tłumaczy się chyba tylko naszą, polską lekkomyślnością.

„Wśród przemagającej ludności ruskiej praca jest widoczną na każdym kroku; inteligencya ruska, a zwłaszcza księża, aż do szowinizmu stają wszędzie na straży praw swego żywiołu. Tymczasem nasza inteligencya nie posiada tej odporności. Brak nam przytem gorliwych księży polskich, którym przecie najłatwiej jest, pielęgnować swych parafian od wynarodowienia. Używanie ruskiej mowy w życiu codziennem, mieszane małżeństwa, przejmowanie się zwyczajami i obyczajami Rusinów, — oto objawy zaniku narodowego, któremu ksiądz mógłby przedewszystkiem zapobiegać skutecznie. Widuję tutaj kościoły łacińskie, przepełnione ludem; niestety, pod siermięgami nie biją tam serca polskie! Są to osobniki *ritus latini*, ale zaledwie pacierz — i to już niewszyscy — umieją mówić po polsku. Większość ich zruszczała całkowicie!

„Inteligencyę polską stanowi tutaj szlachta po wsiach, a urzędnicy w miastach i miasteczkach. Nie chcę ubliżać nikomu, ale — panowie bracia — uderzmy się w piersi: ilu też z was odczuwa obowiązki Polaka tak, jak powinni, a ilu uważa się za kosmopolitów i „Galicyanów“, mówiących po polsku?

„Z klasą urzędniczą nielepiej u nas, dzięki wychowaniu, jakie jej dano w szkole i poza szkołą. Gdy młody człowiek wstępuje u nas do urzędu, to przedewszystkiem wyzuwa się z poczucia obowiązków narodowych (Wręcz przeciwnie postępuje młodzież urzędnicza ruska! *Red.*), a otoczony atmosferą pochlebstwa i służalstwa, wytwarza sobie, jako ideał, karyerę, złoty kołnierz, rangę, pensyę. W tem wszystkiem tonie obywatel i Polak. Czyliż można liczyć na to, iżby w podobnej atmosferze pamiętano, a cóż dopiero cokolwiek działano dla celów wyższych? Są, prawda, wyjątki; mamy i na prowincyi obchody narodowe i zebrania w celach pracy społecznej, ale z reguły wszelkie schadzki naszej inteligencyi mają na celu — zabawę. Przedstawiłem smutny stan rzeczy, oparty na własnych spostrzeżeniach, a jednak trudno mi uwierzyć, iżby w naszem społeczeństwie nie znalazło się już tyle siły odpornej, ażeby — cudzego nie pragnąć — zechcieć chronić i bronić, co swoje!

„Jabym proponował — na wzór „Koła polskiego“ na Bukowinie — powołać do życia statutowe stowarzyszenie, którego celem byłaby opieka narodowa nad ludnością polską w Galicyi wschodniej. Niechajby do tej organizacyi należał każdy Polak pełnoletni, mając obowiązek mate-

ryalny opłacania np. dwóch koron rocznie. Stowarzyszenie, posiadając organizacye filjalne w każdym powiecie, lub nawet w każdem mieście, obok własnej działalności, oddziaływałoby moralnie na ogół Polaków, jako przypomnienie najświętszych obowiązków każdego."

Tak pisze szanowny, a patryotyczny obywatel wiejski. Przypominamy, że podobny projekt organizacyi poruszył już w liście swoim kapłan z obwodu tarnopolskiego. Dowodzi to poczucia potrzeby takiej instytucyi i warta zastanowić się seryo nad powołaniem jej do życia.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ruch wyborczy.

Pisząc swego czasu o reorganizacyi stronnictwa narodowo-demokratycznego, powiedzieliśmy, że cała ta akcya, o ile miała na celu wpływ na obecne wybory uzupełniające, jest chybioną, albowiem zabrano się do niej w chwili ostatniej. Zdanie nasze potwierdza przebieg zgromadzeń przedwyborczych, jakie odbyły się w dniach ostatnich. Wszędzie występują kandydaci demokratyczni, atoli każdy z nich prawie (z wyjątkiem p. Biechońskiego z Gorlic) czyni poważne zastrzeżenia, co do programu, uchwalonego na Zjeździe lwowskim. Rzecz przeto charakterystyczna, że po dokonaniu reorganizacyi obozu narodowo-demokratycznego, z urny wyborczej mają największe widoki wyjścia ci właśnie członkowie obozu, którzy reorganizacyi i nowego programu nie uznają. Jest to, bądź co bądź, osłabieniem efektu reformy wewnętrznej i świadczy, że poza „organizatorami" stoi jeszcze poważny zastęp demokratów i narodowców, których program lwowski wcale nie zadowolił. Zamiast spodziewanej konsolidacyi wszystkich stronnictw demokratycznych, doprowadzono na razie do rozłamu we własnym obozie narodowo-demokratycznym z niemałą szkodą dla sprawy.

Sytuacya wyborcza tak się przedstawia w chwili obecnej: W okręgu Bochnia-Wadowice największe szanse wyboru ma burmistrz Bochni, dr. Maiss. W okręgu Podgórze-Wieliczka wycofano konserwatywną kandydaturę dra Leo, tak, że demokratyczny kandydat, dr. Maryewski, zdaje się, niema przeciwników. W okręgu Jasło-Gorlice są dwaj kandydaci, którzy obaj w razie wyboru znajdą się w klubie demokratycznym, mianowicie prezes Związku stowarzyszeń zarobkowo-gospodarczych, p. W. Biechoński z Gorlic i radca sądu obwodowego, p. Jaworski z Jasła. Trzech kandydatów ma okręg Krosno-Sanok. Są nimi: dr. Jan Kanty Jugendfein, burmistrz Sanoka, p. Lipiński i dr. Nebenzahl. Wreszcie Brzeżany i Złoczów wybiorą zapewne dra Schaetzla.

Sytuacya w Austryi.

Oprócz Koła polskiego, poczynają także Słoweńcy nawoływać Czechów do zaniechania obstrukcyi, grożąc nawet opuszczeniem Czechów w parlamencie.

Tymczasem „Narodni Listy" oświadczają w artykule o sytuacyi politycznej, że młodoczesi posłowie nie odstąpią od obstrukcyi, gdyż mają oni jasny cel: obalenie obecnej konstytucyi i centralistycznego systemu. Naród czeski dobrze ten cel widzi i popiera go; dlatego też potrafi zrezygnować na razie z osiągnięcia rozmaitych ekonomicznych ustępstw. Czescy posłowie byliby bezrozumni, gdyby odstąpili obecnie od tego celu, zwłaszcza, że nie ufają drowi Koerberowi. Wiedzą oni, że gdyby dr. Koerber rzeczywiście złamać chciał hegemonię niemiecką, to byłby to dawno czynami mógł udowodnić. „Narodni Listy" twierdzą dalej, iż większość taka, jak dotychczasowa, nie ma dla Czechów wartości, bo gdyby Polacy i katolickie stronnictwo ludowe na seryo stało było w obronie Czechów, nie byłoby wogóle przyszło do zniesienia rozporządzeń językowych.

W tych dniach się rozpoczęły konferencye prezydenta ministrów, dra Koerbera z wybitniejszymi posłami.

„Neue freie Presse" twierdzi, że rozesłano już zaproszenia na te konferencye, rozpoczynając od posłów czeskich. Według informacyj, zaczerpniętych przez ten dziennik „z kół parlamentarnych", stronnictwa niemieckie lewicy nie widzą powodu do „zajmowania się oficyalnie temi audyencyami dla posłów, ponieważ obrady mają mieć tylko informacyjny charakter, a o właściwych rokowaniach rządu ze stronnictwami nie może być wogóle mowy. Stanowisko, jakie posłowie niemieccy zajmą w zapowiedzianych obradach, określiły jasno komunikaty stronnictw niemieckich, ogłoszone na końcu ostatniej Rady państwa".

„Magyar Nemzet", organ prezydenta gabinetu węgierskiego, omawia widoki, jakie zdaniem jego może mieć ta nowa próba uczynienia parlamentu zdolnym do pracy i zgóry wyraża wątpliwość, czy usiłowania te mogą się udać. Półurzędowy dziennik węgierski jest zdania, że prawdopodobnie i ta nowa próba nie powiedzie się, a rząd austryacki stanie znowu wobec alternatywy: o d r o c z e n i e, l u b r o z w i ą z a n i e.

„Podwysockie Listy", organ dra Pacaka, donoszą, że przed dniem 10 bm. spodziewać się można bardzo ważnych zarządzeń zo strony cesarza. Organ czeski przewiduje wielkie niespodzianki.

W tych dniach odbyły się odwiedziny króla Karola rumuńskiego u cesarza Franciszka Józefa w Ischlu. Obecnym był również minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski.

Proces Bresciego.

Proces mordercy króla Humberta odbył się we środę w Medyolanie i nie wykazał zgoła nowych szczegółów spisku.

Trybunał podał do wiadomości sędziów przysięgłych, że Bresci oświadczył podczas przerwy, iż nie będzie odpowiadał na żadne pytania. Adwokat Merline domagał się odroczenia procesu ze względu na to, że dopiero we wtorek otrzymał wezwanie do podjęcia się obrony oskarżonego. Na wniosek prokuratora trybunał po krótkiej naradzie odrzucił żądanie obrońcy. Podczas narady trybunału Bresci siedział spokojnie na swojem miejscu, rzucając od czasu do czasu obojętne spojrzenia w stronę publiczności. Zaraz potem przystąpiono do odczytania dość długiego aktu oskarżenia. Akt nie zawierał żadnych nowych szczegółów. Podnieść tylko należy, że Bresci ćwiczył się długo w strzelaniu do celu, aby nie chybić ofiary i że kule, któremi naładował rewolwer, spreparował sam specyalnie, aby je uczynić niebezpieczniejszemi. Także i z innych okoliczności wynika, że Bresci działał z rozmysłem.

Po odczytaniu aktu oskarżenia wprowadzono na salę świadków szesnastu, z tych jedenastu zawezwanych przez prokuratora, pięciu zaś przez obronę.

Przewodniczący zaczął przesłuchanie Bresciego. Oskarżony odpowiadał głosem słabym, zmęczonym. Oświadczył on, że zamiar zamordowania króla powziął jeszcze po wydarzeniach w Sycylii i w Medyolanie, aby pomścić nędzę swojego ludu i swoją własną. Stanowczo przeczy, jakoby miał jakichkolwiek spólników; działał sam, nie pytając nikogo o radę. Bresci przyznał, że ćwiczył się w strzelaniu i preparował kule, wreszcie oświadczył, że strzelił do króla trzykrotnie na odległość trzech metrów.

Przewodniczący pokazał Bresciemu rewolwer i dwie drewniane tablice, które mu służyły za cel do strzelania. Następnie odczytano sporą ilość protokołów.

Przy przesłuchaniu świadków wachmistrz żandarmeryi Salvatori opowiadał szczegóły aresztowania Bresciego, który ucierpiał niemało od publiczności i skrwawiony, w podartem ubraniu, bez kapelusza, odwieziony został do więzienia. — Jenerał, Avogadro, który znajdował się w powozie królewskim, zeznał, że król na zapytanie jego, czy jest rannym, odpowiedział: „Zdaje mi się, że rzeczywiście tak" i w tejże chwili skonał. (Poruszenie między publicznością).

Świadkowie Galimberti i Olivieri nie zeznali nic nowego. Królewski służący Lupi opowiadał, że po dokonanym zamachu rzucił sie na Bresciego i schwycił go mocno za gardło. Świadek Pamella, mieszkający w Brescia i zaprzyjaźniony z mordercą, zeznał, że widział Gaetana trzy dni przed wykonaniem zamachu, nie zauważył jednak u niego żadnych szczególnych objawów.

Świadkowie Marja Cambiaghi u której Bresci w Monzy mieszkał i pewna szynkarka, podały, że oskarżony podczas swego pobytu w Monzy, przed spełnieniem zbrodni okazywał niewzruszony spokój i nic nie zdradzało w nim wewnętrznego wzburzenia. Inni świadkowie, wezwani przez prokuratora, nie zeznali nic nowego. Teresa Brugnoli, z Bolonii, przyjaciółka Bresciego, opowiadała, że Bresci otrzymał w dniu 21 lipca depeszę, której treści świadek nie zna i zaraz po odczytaniu jej wyjechał z Bolonii do Medyolanu.

Świadkowie, wezwani przez obronę, chwalili dobre usposobienie Bresciego, który ma rodzinę w Prato. Brat oskarżonego jest porucznikiem w armii.

Po przesłuchaniu świadków i mowach prokuratora i obrońców, Bresci powiedział tylko: „Możecie mię zasądzić, jest mi to wcale obojętne, czekam na wkrótce mającą nastąpić rewolucyę" — poczem usiadł spokojnie na swem miejscu.

Na podstawie werdyktu przysięgłych wydał trybunał następujący wyrok:

„Jego królewska Mość król Wiktor Emanuel III., z Bożej łaski i woli narodu król Włoch, skazuje Gaetano Bresciego, winnego królobójstwa, na dożywotne galery, połączone z więzieniem odosobnionem, na utratę wszelkich praw obywatelskich i zapłatę kosztów procesu".

Bresci słuchał wyroku, podniósłszy się z ławy oskarżonych. Na zimnej, kamiennej niemal twarzy, nie drgnął ani jeden muskuł, usta zaciśnięte nie skrzywiły się nawet do drwiącego uśmiechu. Zdawało się, jak gdyby ten człowiek myślą bawił o sto mil od miejsc, gdzie odczytywano mu straszny wyrok, zakopujący go żywego w ciemnym lochu.

Z Chin.

Wiadomość o pochwyceniu przez wysłaną kolumnę japońską uciekającego dworu chińskiego nie sprawdziła się. A wielka szkoda — gdyby bowiem cesarz Kwangsu znalazł się w rękach państw sprzymierzonych, cały problemat chiński byłby rozwiązany. Osadzenie cesarza na tronie, z którego przed kilkoma laty cesarzowa-wdowa Hsi-tsu zdradliwie i brutalnie go zepchnęła, przywróciłoby odrazu charakter legalny stosunkom chińskim.

Władca prawowity Chin pod protektoratem czasowym mocarstw wyobrażałby ciągłość dynastyczną i legalność stosunków państwowych; cesarzowa-wdowa, książe Tuan i ich kreatury, oparte na ślepej sile bokserów, wyobrażałyby bunt przeciw prawowitości i jako żywioł powstańczy, rewolucyjny byłyby traktowane.

Skoro jednak nie stało się tak, potrzeba liczyć się i nadal z siłą odporną Chin, która nie zmniejszyła się bynajmniej z wkroczeniem wojsk sprzymierzonych do Pekinu. Gdziekolwiek znajdzie się cesarzowa Hsi-tsu, będzie miała prawo organizować opór narodowy przeciw najazdowi cudzoziemskiemu, dopóki zahukany cesarz Kwangsu jest przy jej boku i użycza jej fałszywego nimbu prawowitości. Walka może być długą i uporczywą a rozprzestrzenić się na całe Chiny.

Przypatrzmy się naprzód stosunkom w prowincyi Czili. Pekin zajęty jest przez wojska cudzoziemskie. Następujący jenerałowie tworzą w tej chwili rząd faktyczny w stolicy chińskiej: jen. Leniewicz (Rosya), jen. Gazelee (Anglja), jen. Chaffee (Stany Zjednoczone), jen. Yamagucha (Japonja), jen. Frey (Francya), jen. Höpfner (Niemcy). Tu przypomnieć należy, że tylko pierwsze cztery kontyngensy uczestniczyły w zdobyciu Pekinu. Francuzów była w akcyi podobno garstka, Niemcy zaś pospieszyli dopiero teraz do Pekinu: naprzód małe oddziały marynarskie pod dowództwem kapitanów Pohla i Hechta, a potem świeżo przybyła z Europy dwubataljonowa brygada morska jen. Höpfnera.

Wojsko to, skoncentrowane w Pekinie i wyobrażające siłę mniej więcej dywizyi, przygotowuje się już do nowego ataku sił chińskich, nadciągających z zewnątrz Pekinu.

Obliczywszy, to wszystko, czem rozporządzali jenerałowie Yunglu, Tungfuhsiang, Yung, Nieh i Sung, otrzymujemy bardzo poważną cyfrę około 130,000 ludzi, którzy mimo kilku krwawych potyczek, stoczonych z cudzoziemską kolumną odsieczową i mimo obrony Pekinu, pod ziemię się hurtem nie zapadli. Do tego wojska regularnego należy dodać czerń bokserów, która miała czas już także wyćwiczyć się w rzemiośle wojennem. Tak się przedstawia siła zbrojna Chin w jednej tylko, co prawda, centralnej prowincyi Czili. Tych prowincyj wszakże jest sporo a Chińczyków czterysta miljonów!

Niedziw, gdy ze strony Ameryki i Rosyi poruszono projekt nawiązania rokowań pokojowych z Chinami.

W-ek.

Za morze...

Niema prawie tygodnia, by przed oczyma naszemi nie przesunęły się na dworcach kolejowych gromadki ludzi o wybladłych, chudych twarzach, zapadniętych głęboko policzkach, z małemi tobołkami w ręku, którzy na zadane im pytanie, dokąd jadą, mają krótką odpowiedź „do Brandzylii“, lub „do Hameryki“. Ludzie ci apatyczni, zamknięci w sobie, obojętni prawie zupełnie na to, jaki ich los w obczyźnie spotkać może, często otoczeni są żonami z niemowlętami przy piersiach... Cały ich majątek zamknięty w brudnym węzełku, który troskliwie chowają za pazuchę...

Wszystkie społeczeństwa zachodnie zrozumiały, że wychodźctwo jest koniecznym skutkiem obecnych stosunków gospodarczych i społecznych, przekonały się, że na nic nie przydadzą się przestrogi i sztuczne hamulce, że ruch emigracyjny trwać będzie i wzrastać będzie tak długo, dokóki jego podstawowe przyczyny: przeludnienie względne do ekonomicznych stosunków nie zostaną usunięte. A zrozumiawszy to, starają się, by ruchu tego nie zmarnować, więc emigracyę ochraniać, następnie kierować nią ile możności przez państwo i z korzyścią dla państwa.

I naszym obowiązkiem jest ruch ten, jego siłę i kierunek zbadać, powody i wszelkie przejawy pilnie śledzić, oceniać dobre i złe strony, a potem ująć kierownictwo jego silnie w ręce i baczyć, by nie szkodę przyniósł, lecz pożytek.

Według sprawozdania konsulów, główny prąd emigracyjny kieruje się do Ameryki północnej. W jednym tylko (I) kwartale 1900 roku wylądowało w Nowym Jorku ogółem 84.073 europejskich emigrantów, z czego na monarchię austryacko-węgierską wypada 29.945. Austrya zajmuje tedy pierwsze miejsce w europejskim ruchu emigracyjnym do Ameryki północnej, gdyż jej obywatele dostarczają więcej, aniżeli trzecią część ogółu wychodźców z Europy; za Austryą idą dopiero Włochy z 19.052, Rosya z 17.055, Niemcy z 2.830 emigrantami.

Natomiast do Ameryki południowej ,a mianowicie do dwóch brazylijskich stanów San Paulo i Parana (z innych stanów nie ma dokładniejszych danych) przyjechało w r. 1899 ogółem 1.220 wychodźców austryackich, co w stosunku do emigrantów z innych państw europejskich (w Rio-Janeiro wylądowało 27.650 osób w r. 1899) bardzo mały stanowi procent.

Ze stosunku emigrantów w r. 1899 do lat poprzednich przekonywujemy się, że emigracya stale wzrasta. I tak w r. 1897 przejechało przez Antwerpię 5.064, w r. 1898 —5.880 a w r. 1899—12.705 obywateli austryackich, czyli, że w r. 1899 emigracya przez port antwerpijski była więcej aniżeli dwa razy tak liczna, jak w roku poprzednim.

Powody tak silnego ruchu wychodźczego leżą bezwątpienia w smutnych stosunkach ekonomicznych państwa. Stwierdza to także konsul antwerpijski, mówiąc, że przeciętna płaca robotnika w Ameryce wynosi 1740 koron, podczas gdy w Anglii osiąga 1024 k. a w Austryi zaledwie dochodzi do 750 koron. Prócz tego wielką rolę — zdaniem konsula — odgrywają listy rozmaitych krewnych i znajomych, którzy już w Ameryce przebywają i nieustannie zachęcają pozostałych w kraju do podróży. Według wiadomości, zaczerpniętych u rozmaitych towarzystw żeglugi, okazało się, że większość emigrantów jedzie za biletami zapłaconemi z góry w Ameryce (prepaid fares). Nie ulega jednak kwestyi, że sama tęsknota za swoimi nie pędziłaby tysięcy ludzi za morze na niepewne losy, gdyby nie równoczesne lepsze stosunki życiowe.

Co się tyczy narodowości emigrantów do Ameryki północnej, to najliczniejszego kontyngentu dostarczają galicyjscy żydzi, którzy znajdują tu zatrudnienie w handlu i przemyśle. Po nich idą narody słowiańskie z Węgier, i ci pracują jako robotnicy przy kolei, w górnictwie i na roli.

Rozważając zawód emigrantów, obaczymy rzecz charakterystyczną. Ci, którzy jadą do Ameryki północnej, są przeważnie zarobnikami dziennymi. Mianowicie z ogólnej liczby austryackich emigrantów, którzy w roku 1899 przez port w Antwerpii wyjechali do Ameryki północnej 12.705, było 10.018 wyrobników. Na odwrót emigranci do Ameryki południowej rekrutują się po największej części z chłopów, byłych posiadaczy. Na 27.650 osób, które w r. 1899 przyjechały do Brazylii, było 20.166 chłopów. Przyczyn tego zjawiska szukać należy w olbrzymim wzroście przemysłu północno-amerykańskiego, podczas gdy Ameryka południowa pozostała nadal głównie rolniczą.

Bardzo ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się, jak się przedstawiają cyfry tych, którzy napowrót wracają do kraju, lub przynajmniej z zarobku swego wspierają pozostałych w kraju. Co do tego, znajdujemy w sprawozdaniu bardzo mało danych. Tylko, co do stanu Parana, do którego wyjeżdżają głównie chłopi, dowiadujemy się, że w roku 1899 zaledwie 30 wróciło do kraju. Cyfra to znikająco mała, bo stanowi zaledwie niecałe 3 prct. tych, którzy w tym samym roku do Parany przyjechali (1.011). Dowodzi to, że chłopi emigrujący do Ameryki południowej, osiedlają się tu na stałe przeważnie bez zamiaru powrotu do ojczystego kraju.

Co do emigrantów do Ameryki północnej, zaspakaja częściowo naszą ciekawość konsul w Antwerpii w tym ustępie swego sprawozdania, gdzie powiada: „Emigrujący robotnicy należą do najuboższych klas ludności, wywożą z kraju bardzo nieznaczne sumy pieniężne, dzięki swej wytrwałości i dzielności zarabiają w Ameryce znaczne kwoty i te przy znanej swej oszczędności i małych potrzebach odkładają, a następnie po uzbieraniu wystarczającej sumki prawie wyłącznie powracają do ojczyzny, by sobie zakupić kawałek gruntu i tu dokończyć żywota. Ta oszczędność i przywiązanie do ziemi rodzinnej jest rysem charakterystycznym naszych słowiańskich robotników, co potwierdzi każdy, kto zna tych ludzi. Moje wiadomości, zaczerpnięte w towarzystwach żeglugi, potwierdzają w zupełności to zjawisko: po każdym większym napływie emigrantów, następywał zawsze wzrost liczby powracających“.

Możemy panu konsulowi wierzyć na słowo, tembardziej, że skąd inąd wiemy o znacznych kwotach pieniężnych, jakie emigranci posyłają swoim rodzinom. W jednym powiecie jasielskim wypłaciły urzędy pocztowe w roku 1899 poważną sumę 1,044.193·59 koron, z czego na Frysztak wypada 262.000, Jasło 115.587, Żmigród 101.533 koron itd.

Po tem uspakajającem sprawozdaniu konsula w Antwerpii, które stwierdza, że emigranci północno - amerykańscy prawie wszyscy do kraju wracają, swoje gospodarstwa podnoszą i wskutek tego przyczyniają się do dobrobytu kraju, głównie troszczyć by się należało o tych, którzy na zawsze pozostają na obcej ziemi, a więc głównie o chłopów osiadłych stale w Ameryce południowej.

Już dzisiaj powstały, głównie w stanie Parana, poważne skupienia, gdzie ludność polska ma wszelkie warunki pomyślnego rozwoju pod względem ekonomicznym i narodowym. Należy emigracyę tę uchronić od wynarodowienia, nie pozwolić, by była tylko podłożem, na którem wykwitnie dobrobyt dla Niemców, Anglików i innych narodowości, nie dopuścić, by naród polski był wiecznie paryasem, wzbogacającym narodowości obce. Nie tyle względy ideowe, które ktoś zechce może nazwać sentymentalizmem, ale po prostu korzyści materyalne, jakie da się osiągnąć, nakłaniają nas do zajęcia się energiczniejszego losem emigrantów. Przez nawiązanie silnych nici z temi koloniami, moglibyśmy je wyzyskać dla celów naszych metropolij, moglibyśmy mieć rynek zbytu dla płodów naszego przemysłu.

I dlatego należałoby jak najgoręcej poprzeć pracę tych ludzi, którzy związani w „Polskie Towarzystwo kolonizacyjno-handlowe" i w „Związek kolonialny wydawniczo-wywozowy" postawili sobie za cel utrzymać ścisłą łączność polskiego społeczeństwa z koloniami i nie dać im zaginąć z wielką szkodą i dla nich i dla nas.

W.

Jeszcze w sprawie reformy szkół średnich.

Jeszcze? *Eine alte Geschichte, doch bleibt es immer beim Alten!* Rzeczywiście — upór i zaciekłość obrońców dzisiejszego stanu szkół zmusza do coraz częstszych i gwałtowniejszych ataków drobną garstkę owych, którzy śmiele i otwarcie domagają się reformy, widząc, że w tym właśnie wypadku mają na swej stronie cały milczący ogół społeczeństwa. Ta rozpowszechniona dziś znajomość błędów w ustroju średniego szkolnictwa — niejednego odwodzi od publicznego wystąpienia. Bo pocóż — myśli — po raz setny odkrywać Amerykę? A rzecz na tem cierpi. Czasem tylko zwołuje się ankiety, które pozostają ankietami, czasem tylko budzą uśpioną opinię samozwańcze artykuły, uwieczniane po dziennikach — na dobę.

Przypomina mi się przysłowie o grochu i o pewnej ścianie.

Trzeba zatem nie łagodnych wywodów, lecz burzącej pięści — a tej zalety nie widzę w artykule p. „B. W."

Słusznie? Nim przejdziemy do systemu należy rozstrzygnąć zadanie i cel szkoły średniej, a zwłaszcza uznać ją jedynie społecznym czynnikiem. Pod kątem więc jej społecznego zadania i obowiązku należy oceniać błędy i wady.

— Myli się pan „B. W", skoro wszczepianie w młodzież moralnych, czy estetycznych zasad nazywa bezmyślnem itd. „trąbieniem". Czyż sądzi, iż młodzież polska — a o naszej to mówi — którą wprawdzie rząd sam przez wprowadzenie mundurków chciał napiętnować, jako złą — tak już podupadła, że szlachetniejsze myśli już do niej przystępu nie mają i tylko budzić mogą uśmieszek lekceważenia?

Błądzi nie mniej p. „B. W.", skoro, przechodząc do porządku nad praktycznym, „do życia zastosowanym celem" szkoły, domaga się od niej jedynie „wszechstronnego rozwijania zdolności poznawczych" uczniów. Tak oderwanego zadania niktby nie przypisał szkole.

Jako szczebel w ustroju szkolnym winna raczej dać ona uczącemu się ogólny zarys owej wiedzy, której w innej, wyższej instytucyi naukowej nabyć by nie mógł, dbając oczywiście przytem o rozwój inteligencyi ucznia.

Szkoła nie powinna zatem nigdy zapominać o swem społecznem znaczeniu, więc o tem, iż zadaniem jej jest wyposażać umysły młode w zasób potrzebnych w obywatelskiem życiu wiadomości, przyczem nieodzowny, a nieunikniony jest wpływ jej na wychowanie.

Dzisiejsze gimnazyum niejednokrotnie grzeszy przeciw swemu zadaniu. Wady jego wykazał niedawno dobitnie dyrektor gimnazyum p. A. Fichten, a uwagi sumiennego wychowania, zebrane w czasie 40-letniego doświadczenia, są może najdoskonalszym wyrazem żądań o reformę.

Języki klasyczne, będące — zdaniem pewnego, uczonego, jedynie środkiem zarobkowania nauczycieli łaciny i greki — powinny odpaść, lub też nauczanie ich należałoby przynajmniej przystosować do dzisiejszych potrzeb.

Atoli dziwacznym wydaje mi się wywód p. B. W. — potępiającego języki klasyczne ze względów krajowych. Ależ, Panie! Gimnazyum nigdy nie usiłowało przyczyniać się czemkolwiek do zwycięstwa Galicyi w międzynarodowych wyścigach kulturnych. Nietylko Anglikom, mającym wielką w ł a s n ą literaturę, wolno poznawać świat starożytny. Niekonsekwencyą p. B. W. jest, iż — odmawiając szkole praktycznego celu, zarzuca jej niepraktyczność. Nie dlatego niewolno nam się greką zajmować, iż jako Polacy, czy Rusini musimy sobie przyswoić jeden przynajmniej jeszcze język europejski, lecz ponieważ silnie myszką i pleśnią trącące dzieła starożytnych, nie odpowiadają w znacznej mierze już naszym artystycznym wymogom, samo poznawanie piękności dawnej literatury przedstawia nieprzebyte trudności, a i sposób nauczania języka jest zły.

Po ośmiu latach nauki łaciny, a sześciu greki uczeń nie zna na prostszych wyrażeń, ni krytycznie nie potrafi ocenić „przestudyowanych" dzieł. A czemuż to tak łatwo przywłaszczyć sobie w ciągu kilku miesięcy obcy „europejski" język?

Większa część zarzutów dyr. Fichtena tyczy się wychowawczej działalności szkoły i jej ustaw.

Jeśli się rodzina i społeczeństwo już godzi, by wziąć na siebie ciężar wychowywania młodzieży, uwalniając od tego nauczycieli, którym jest to wprost niemożliwem, i jeśli szkoła sama stara się od tego obowiązku uchylić — winna się ona zupełnie wstrzymać od wkraczania w zakres wychowania, lub choćby wpływać na ucznia dodatnio. Ważną więc troską władz szkół być winno, by znaleźć taki dobór nauczycieli, którzyby nie razili ignorancyą, dziwactwem, a — co najważniejsza — nie przeplatali wykładów o Homerze, czy Kościele, agitacyą partyjną. Częste są niestety wykroczenia w tym względzie.

Zle wpływać musi na młodzież policyjno-militarny system, z którego się szkoła otrząść nie umie; odzianemu w mundur uczniowi, maszerującemu w szyku, brak tylko pikelhauby, by się zmienić w pruskiego żołnierza. A że mundurki i tak od złego nie odwodzą, a owszem uwidaczniają ewent. nieprzyzwoitość uczniów, że i one nie uczą ich skromności — aż nadto przykładów. Jak dalece rozwydrzyła się policyjna hydra w szkolnictwie, świadczy najlepiej wydany, a niebawem zniesiony, ukaz, nakazujący policyi aresztować uczniów, palących publicznie papierosy.

Wszystkie do usunięcia prawdziwych, czy mniemanych wad młodzieży — w ten sposób użyte środki nie przyczynią się do jej normalnego rozwoju.

Jak zniechęca ucznia i jak śmiesznie pobieżnym jest sposób klasyfikowania, dowodzi, iż uczeń, który do nauki największych dokładał starań i lekcyę swą doskonale umie — nigdy nie jest pewnym klasy. Od nauczyciela w zupełności zależy wprawienie ucznia w stan umysłowego omdlenia. Uczeń pytany przedstawia w swem zachowaniu, w wyrazie zakłopotanym i rozgorączkowanym — obraz zdanego na łaskę nauczyciela jeńca.

Nie trzeba dodawać, iż takie pytanie nie pozwoli żadnym sposobem należycie ocenić wiadomości ucznia. Nieraz spogląda rozgoryczony uczeń z zazdrością i oburzeniem na kolegą, mającego przychylność, lub dobrą opinię u profesora.

Zważywszy, iż sposób ten klasyfikowania — ze względu na jego powierzchowność i zaburzenia zachodzące w umyśle pytanego ucznia, jest nieodpowiedni, będziemy uważać egzamin dojrzałości za barbarzyński. W czasie 5, lub 4 godzin, z których ogółem na ucznia przypada godzina, ma dać odpowiedzi z 6, lub 5 przedmiotów. Podczas odpowiedzi np. matematyki, natęża uczeń i układa wszystkie swe myśli w tym jednym kierunku, w takiem jest oszołomieniu, iż poza przedmiotem, który omawia, niczego zgoła nie pojmie — przerwa zatem 10 minut nie wystarczy do odzyskania koniecznej równowagi, by znów z równem napięciem zająć się drugim przedmiotem.

Wpływ egzaminu dojrzałości na zdrowie młodzieży, winien być jednym z powodów do złagodzenia, jeśli już nie zniesienia, matury.

Wielkie niekonsekwencye i błędy znajdujemy w ustawach szkolnych. Potępić należy wszelkie fizyczne kary, podobnie, jak słowne obelgi, przezwiska, poniżania wobec kolegów, jako osłabiające poczucie honoru u młodzi, zwłaszczcza w klasach wyższych.

Wydalanie uczniów z wszystkich zakładów gimn. da się usprawiedliwić, daleko mniej zaś wydalanie z jednego z prawem wstąpienia do innego gimnazyum. A tu dzieje się krzycząca niesprawiedliwość: uczeń taki często daremnie puka do wszystkich kancelaryj, a nigdzie przyjąć go niechcą. Wydalenie więc z jednego zakładu równa się ogólnemu.

Ciągłe zmiany w składzie profesorów są niekorzystne, gdyż każdy prawie z nich ma inny sposób, niekiedy i brak sposobu — nauczania. Z powodu nieznajomości ucznia. okazuje mu przełożony pewną nieufność, słowo jego i czyn każdy częstokroć tłumaczy ujemnie, a taki stosunek nie zrodzi harmonii, potrzebnej do zakiełkowania ziarna.

Praca nad wykorzenieniem zła wielka.



ZBIERANIE CHMIELU.

Henryk Lichtenberger
prof. uniw w Nancy

Fryderyk Nietzsche.

(Za zezwoleniem autora przetłumaczył Bertold Menkes).

I.

Chcąc należycie poznać filozofię Nietzschego, nie należy odrazu zająć się zgłębieniem jej wartości ogólnej, naukowej i społecznej, ale poprzód przyjąć ją, jako spowiedź twórcy, jako pamiętnik. Czy Nietzsche jest założycielem nowej religii i kultury, czy tylko bezpłodnym burzycielem, zapatrującym się na dotychczasowe wierzenia, jako na bajki; czy uważać go należy za proroka, głoszącego nadejście różami zasłanej przyszłości, czy tylko za wykwit minionej epoki kulturalnej, działającej obecnie raczej ujemnie, niż dodatnio: — to szereg zasadniczych pytań, których doniosłości nie myślę wcale zaprzeczać. Nie obieram ich jednak za temat niniejszej pracy. Sądzę bowiem, że Nietzsche wybitniej się przedstawia, jako człowiek, jako osobistość, jako poeta, niż jako filozof i twórca logicznego i ściśle powiązanego systemu teoretycznego. Można uwielbiać Pascala i gorliwie wczytywać się w jego „Myśli", a mimoto nie podzielać jego przekonań i nie uznawać jego apologii chrystyanizmu; podobnie można przejmować się ową szlachetnością, jaka ujawia się w postaci Nietzschego, można zachwycać się pięknem i liryką „Zarathustry", a mimo to nie pisać się na jego poglądy, nie zgadzać się na głoszony przezeń „arystokratyczny radykalizm", nie dzielić jego pogardy dla niewolników moralności.

Dlatego pragnę w ogólnych zarysach zająć się rozwojem osobowości Nietzschego, opowiedzieć dzieje jego zewnętrznego i wewnętrznego życia, wspomnieć o niebezpiecznych przejściach i przygodach, których się podejmował z wielką namiętnością i szczerością ten nieustraszony badacz prawdy, a wreszcie podać, jak to stopniowo, oczywiście na zewnątrz niedostrzegalnie, dochodziła do skutku straszna tragedya jego życia, zakończona ową ponurą katastrofą, której objawy widoczne są dotychczas w domku wiejskim koło Wejmaru. Tam to dokonywa się „Zajście Zarathustry"...*)

II.

Spokojnie i jednostajnie upływała młodość Nietzschego. Urodził się 15 października 1844 roku w Röcken koło Lützen, jako syn protestanckiego pastora. W piątym roku życia stracił ojca. Matka wychowała go nadzwyczaj starannie. Pierwsze lata nauki spędził w Naumburg, dokąd rodzina przesiedliła się w r. 1850. Szkoły średnie odbywał w Schulpforcie koło Naumburga. Po złożeniu egzaminu dojrzałości udał się na uniwersytet w Bonn, następnie do Lipska, celem poznania klasycznej filologii, odbył następnie, jako jednoroczny ochotnik służbę wojskową, podczas której ciężką przebył chorobę wskutek spadnięcia z konia; potem powrócił do Lipska w celu przygotowania się do egzaminu na doktora; w lutym 1869 r. został na polecenie znakomitego filologa Rischla, którego był ulubieńcem, jeszcze przed złożeniem egzaminu powołany na uniwersytet w Bazylei w charakterze profesora. Tu przepędził sześć lat oddany, całkowicie pracy, wykładał na uniwersytecie tylko o tyle, o ile pozwalał mu na to stan zdrowia; pracował wówczas namiętnie nad pierwszemi swemi dziełami literackiemi i naukowemi. Podczas świąt i wakacyi robił liczne wycieczki w góry, alb onad jeziora północno-włoskie. Z tak spokojnego sposobu życia wyrwała go wojna francusko-niemiecka 1870—71 roku, w której dobrowolnie wziął udział jako pomocnik sanitarny. Ciężka choroba zmusiła go jednak wkrótce do powrotu. Choroba żołądka i ciągle się wzmagający ból głowy spowodowały złożenia godności profesora w r. 1879.

Żaden nie panuje rozdźwięk między charakterem Nietzschego, a tym cichym, odosobnionym trybem życia. Nie był wcale usposobionym rewolucyjnie i burzycielsko. Od dzieciństwa przejawiał się, jako natura poważna, łagodna, skupiona, oparta o głęboką religijność i poczucie bezwględnej sprawiedliwości, jako umysł nadzwyczaj wrażliwy, obdarzony silną wolą, przyrodzonym smakiem arystokratycznym i miłością ku pięknu; instynktownie odczuwał wstręt do wszystkiego, co pod względem psychicznym, lub moralnym nie znajdowało się na poziomie jego uczuć. Ponieważ rodzina była stosunkowo zamożna, nie odczuwał nigdy nędzy i przykrości walki o byt; przeciwnie, swobodnie mógł się rozwijać i ulegać instynktowi i przyrodzonemu smakowi. Wskutek przedwczesnej śmierci ojca owiewa smutek pierwsze lata jego życia; natomiast młodość przepędza, ogółem wziąwszy, szczęśliwie. Nie było to jego właściwością, zbytnio uzewnętrzniać się przed ludźmi i stykać ze światem, raniącym boleśnie jego poczucie nieskazitelności; żył w błogiem oddaleniu od zgiełku świata z matką, siostrą i nielicznymi przyjaciółmi, szczodrze rozdzielając między nich nieprzebrane skarby miłości, a otrzymując w zamian za to tyle owej kobiecej tkliwości, ile jej potrzebowała jego spragniona miłości dusza. Nikt nie tamował biegu jego wewnętrznego rozwoju. Swobodnie mógł kształcić swe „ja", jak mu się żywnie podobało, mógł podsycać wcześnie rozbudzone skłonności ku muzyce i poezyi, i czyto w szkole, czy na uniwersytecie zaspakajać silnie nań działającą potrzebę „uniwersalnego wykształcenia". Życie Nietzschego pozostaje więc w ścisłej harmonii z jego instynktami. Jego istota ukształtowała się sama wedle skłonności, które w sobie potęgował; bez walki zyskał wcześnie stanowisko życiowe. Mało również cierpiał wskutek wewnętrznego rozdwojenia między rozumem a uczuciem, głową a sercem. Taksamo mało ma w sobie cech zwyrodnienia i neurastenii, jak i pierwiastków rewolucyjnych. Przeciwnie: można go uważać za istotę o podstawach nadzwyczaj zdrowych. Patrząc na Nietzschego, zyskuje się przeświadczenie, że ten tak silnie zbudowany mężczyzna nie jest zwyrodniałym niedołęgą, przeznaczonym na stopniowy zanik, że przeciwnie organizm jego musiał być z początku zdrowym i silnym, a uległ tylko zewnętrznym wpływom. Stoczyła jego ustrój fizyczny czyto choroba osobista, czy dziedziczna, czy wreszcie wadliwa hygiena. Również i pod względem psychologicznym okazuje się Nietzsche jako dusza bogata, wielostronna i subtelna, bez najmniejszych śladów nienormalności. Nadzwyczaj uczuciowy, obdarzony wielką siłą woli i namiętnością, jest równocześnie poetą i myślicielem, muzykiem i uczonym. Nigdy nie walczy ze sobą samym. Ani śladu u niego nie ma owej „anarchii instynktów", znamionującej dekadencyę.Z biegiem czasu zmienia się oczywiście. Zatraca powoli chrystyanizm, następnie wyzwala się z pod wpływu swych „wychowawców" Schopenhauera i Wagnera. Odbywa się to wprawdzie nie bez bolu, w każdym razie jednak bez wewnętrznego rozdwojenia; wyzwolenie to było spowodowane nieubłaganą koniecznością, cechującą jego osobę. Nigdy nie kieruje nim rozum w jedną, a serce i zmysł artystyczny w drugą stronę, jak to miało miejsce np. u Heinego i dlatego linia jego rozwoju przedstawia się, jakgdyby naprężony, nigdzie nie skrzywiony i rozszczepiony drut; oczywiście do tej chwili, kiedy normalny jego rozwój skończył się ową katastrofą, kładącą kres uświadomionemu jego życiu.

III.

Dwie pozornie sprzeczne, w rzeczywistości jednak jednolite dążności krzyżują się w życiu Nietzschego: pozytywna, skłaniająca go do uwielbienia i ubóstwienia pewnych ideałów, i negatywna, której celem było bezwzględne zwalczanie wszystkiego, co te ideały zawierały niebezpiecznego, albo zgubnego. Instynkt pozytywny, dążność do potwierdzenia wartości danego przedmiotu, do miłowania, podziwiania i szanowania, był zasadniczym rysem jego istoty.

„Uszanowanie" jest wedle niego główną cnotą „moralności panów". Szlachetne serce winno się korzyć z podziwem i miłością przed każdą prawdziwą wielkością; oddajemy sobie w ten sposób cześć, iż czcimy tych, którym cześć się należy. Demokrata, „nie uznający, ni Boga, ni pana" i odmawiający każdemu prawa rozkazywania; człowiek, narzucający innym swe zdanie i nie mający zmysłu różniczkowania przedmiotów, a przede wszystkiem człowiek zazdrośny, nienawidzący instynktownie wszystkiego, co wielkie — należą przez to samo, iż brak im „uszanowania", do gatunku istot niższych, do dusz niewolniczych. Nietzsche zaś jest w najwyższym stopniu „pełen uszanowania". Stanowi właśnie sprzeczność z owymi krytycznie usposobionymi ludźmi, którzy natychmiast notują najdrobniejsze rysy, błędy, słabostki i strony komiczne swego otoczenia.

On idealizuje osoby, z któremi się styka. Nietylko wobec krewnych żywi nadzwyczajne uszanowanie i miłość, ale skłania się także łatwo do uwielbiania swych nauczycieli i przyjaciół tak, iż niejednokrotnie nadaje im nieskończenie większą wartość, aniżeli rzeczywiście posiadali. Niebrak jednak Nietzschemu wybitnego zmysłu krytycznego, który zasadzał się na gorącem dążeniu ku prawdzie i na bezwzględnej szczerości, stanowiącej wybitne i prawdziwie „bohaterskie" znamię jego istoty. Siła, skłaniająca go do potwierdzenia, powodowała również często zaprzeczenie wartości pewnych przedmiotów. Głos serca nie głuszył głosu rozumu; nigdy nie oddałby się takiej wierze, lub przyjaźni, którąby jego rozum ocenił, jako zgubną, lub zwodniczą.

Tak więc kroczą obok siebie przez całe jego życie potwierdzenie i zaprzeczenie, nie przeszkadzając sobie wcale i nie gnębiąc się nawzajem. Przez całe życie opiewał Nietzsche w sposób coraz bardziej namiętny i proroczy ideał, którego świetlaną ujrzał wizyę i wszystko, co

*) Fryderyk Nitzsche zmarł 25. bm. w Wejmazre.



Z ŻYCIA CHINCZYKÓW: SIESTA.

w świecie realnym uzupełniało ową wizyę. I przez całe życie zwalczał z taką samą namiętnością ludzi i nauki, które uważał za wrogów i niszczycieli tego ideału; ani na chwilę nie zawahał się zburzyć gmach lub zniszczyć ludzi, którym dawniej wierzył i miłował, kiedy tylko rozum mu doradził ich zagładę dla dobra swych ideałów.

Na początku działalności publicystycznej władał nim jeszcze silnie instynkt uszanowania i affirmacyi. Zachwyca się kulturą helleńską, którą zajmował się jako profesor filologii w Bazylei, dalej Schopenhauerem, którego dzieła kupił przypadkowo w roku 1865, a który stał się odtąd najulubieńszym jego filozofem, Ryszardem Wagnerem, z którym wszedł w roku 1869. w nader zażyłe stosunki, a wreszcie Jakóbem Burckhardtem, słynnym historykiem sztuki, który uświadomił w nim poczucie kultury ludów romańskich, a zwłaszcza renessansu włoskiego. Umysł taki, który równocześnie zajmował się sztuką starożytnych, literaturą, muzyką i filozofią, musiał raczej skłaniać się do dzieł wielkich, syntetycznych, aniżeli do owych mikroskopowych badań, w które tak chętnie popadają filologowie. To też w pierwszych swych dziełach, jak „Narodziny tragedyi z ducha muzyki" (1872), „Schopenhauer jako wychowawca" (1874) i „Ryszard Wagner w Bayreuth" (1875) starał się w ogólnych zarysach skreślić cele współczesnej kultury, opierającej się na syntezie trzech pierwiastków: greckiej tragedyi, filozofii Schopenhauera i dramatu muzycznego Wagnera.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Bobelak.

GAŁĄZKA JAŚMINU.

WSPOMNIENIE.



Antonio P., urodzony na wyspie Sansego (w morzu kwarnerskim niedaleko Rjeki) postradał w dziecięcym jeszcze wieku rodziców, a wychowaniem jego zajęli się dalecy krewni. Po ukończeniu szkoły nautycznej w Lussin piccolo zaciągnął się do służby na austryacki okręt handlowy, z którego w kilka lat później przeniósł się na statek amerykański, będący własnością bogatego plantatora z południowej Karoliny.

Jako pierwszy sternik, podczas pobytu w Nowym Orleanie, bywał często w domu właściciela okrętu don Diega, gdzie też poznał uroczą córkę jego ,Dolores.

I nastąpiło to, co łatwem było do przewidzenia. Młoda, bo niespełna 16 lat licząca, prześliczna Kreolka, której matka od trzech lat spoczywała w grobie, pokochała ubogiego sternika tak, jak tylko córka gorącego południa kochać potrafi.

A on? Czyż mógł pozostać nieczułym na tyle wdzięków i miłości?

Kiedy Antonio w kilka miesięcy powrócił do Nowego Orleanu, zwierzyła się Dolores ojcu swemu.

Lecz dumny Hiszpan, pomny rycerskich czynów przodków swoich, jak niemniej pochodzenia w prostej linji od zdobywcy Meksyku, nie chciał ani słyszeć o tem, by córka jego, w której żyłach krążyła czysta krew kastylijska, miała się łączyć z nieznanym, aczkolwiek dzielnym marynarzem, należącym nadto do tego narodu, który w najświetniejszych czasach Hiszpanii był już w niewoli, w której dotychczas pozostaje.*)

Czego jednakże nie dokaże jedynaczka, a do tego zakochana? Dopóty prosiła i błagała ojca, aż wreszcie uległ on jej prośbom i udzielił swego zezwolenia.

W kilka tygodni później w starożytnej katedrze Nowego Orleanu O. Fernando, stary przyjaciel rodziny don Diega, związał im ręce stułą, a wkrótce potem uszczęśliwiona para udała się w podróż poślubną na okręcie, nad którym Antoni objął dowództwo.

Wyładowawszy przywiezioną bawełnę w Liverpoolu, zabrał Antonio świeży ładunek do Neapolu, dokąd szczęśliwie zawinął. Będąc tak blisko ojczyzny swojej, nie mógł Antonio oprzeć się chęci ujrzenia jej — może ostatni raz w życiu. Dolores na samą myśl, że wkrótce oglądać będzie ojczyznę swojego drogiego Antonia, nie posiadała się z radości. Załatwiwszy więc interesa w Neapolu, skierował Antonio przód okrętu ku ojczystym wybrzeżom, a przy pomyślnym wietrze w kilka dni później ujrzał zarysowujące się daleko na horyzoncie brzegi wyspy, przy której naprzeciw swej rodzinnej wioski zarzucił niebawem kotwicę. Ogólna radość zapanowała na wysepce; wszyscy, którzy Antonia dzieckiem jeszcze znali, garnęli się do niego, by mu winszować szczęścia, które w obczyźnie przypadło mu w udziale.

Tymczasem Antonio pokazywał swej żonie miejsca, gdzie będąc dzieckiem bawił się ze swymi rówieśnikami, szkółkę gdzie pobierał pierwsze początki nauki, kościółek, w którym go ochrzczono, a wreszcie cmentarz, na którym w cieniu cyprysów pod prostym krzyżem spoczywały szczątki drogich mu rodziców...

Stojąc nad grobem, odezwała się Dolores:

— Prawda Antonio, że ty mię nigdy nie opuścisz?

— Przenigdy — odrzekł tenże — chyba w grobie.

— W takim razie — odparła Dolores — damy się pogrzebać razem, gdyż jabym straty twej nie przeżyła...

Niestety, sądzonem im było inaczej.

Antonio, podróżując przez lat kilkanaście po obcych częściach świata, zapomniał zupełnie o istnieniu w Austryi powinności wojskowej i o karze, jaką ściągają na siebie ci, którzy się od niej uchylają. Skorzystał z tego podły denuncyant — jeden z dawnych jego rówieśników — i Antonio w przededniu wyjazdu został aresztowany.

Nastały ciężkie czasy dla biednej Dolores; w niespełna cztery miesiące po ślubie wydarto jej tego, który był dla niej najdroższym na świecie, dla którego gotową była poświęcić wszystko.

*) Południowi Słowianie.

Wszelkie czynione zabiegi nie na wiele się przydały. Antonio wyrokiem sądu wojennego zasądzony został na odsłużenie sześciu lat przy marynarce wojennej, do której go niezwłocznie wcielono. Okręt jego pod dowództwem pierwszego sternika powrócił do Ameryki, a biedna Dolores, chcąc oczekiwać powrotu męża z podróży, w którą miał niebawem wyruszyć, zamieszkała w Pola.

Tutaj to poznałem się z nimi. W trzy miesiące po wcieleniu Antonia do marynarki, wyruszyłem na c. i k. korwecie na której Antonio pełnił funkcyę prostego majtka w podróż transatlantycką.

Wieczór przed wyjazdem spędziłem u nich. Kiedy nareszcie zbliżała się chwila, w której mieliśmy wrócić na okręt, a biedna Dolores zalewała się łzami, nie chcąc być świadkiem ich boleści, wyszedłem na ulicę...

Pożegnanie ich trwało długo... Czyżby przeczuwali, że żegnają się na zawsze?...

I mimowoli zastanowiłem się nad tem, ażali można nazwać prawem to, co bez widocznej dla kogoś korzyści, unieszczęśliwia dwie istoty...

Z zadumy tej, wyrwał mię odgłos kroków szybko zbliżającego się Antonia, który zdołał nareszcie uwolnić się z objęć rozpaczającej żony.

Dnia następnego nad ranem, wyruszyliśmy w podróż żegnani okrzykami załóg stojących w porcie okrętów. Z molo Wulkan*) jak długo dojrzeć można było, powiewała biała chusteczka.

To biedna Dolores żegnała męża...

(Ciąg dalszy nast.).

Henryk Zbierzchowski.

EDWARD GRIEG.

STUDYUM.

(Dokończenie).

Utwory Griega orkiestralne, a więc oratorya i symfonie mają już nieco odmienny charakter..., bo oprócz wszystkich cech utworów fortepianowych posiadają one jeszcze dwie właściwości — nadzwyczajną instrumentacyę idealną prawie przez to, że nie czuć w niej zupełnie rozdziału między instrumentami dętymi a smyczkowymi, tylko słyszy się jednostajną cudowną symfonię rozszalałych dźwięków... a po drugie mają one charakter historyczny średniowieczny, zwłaszcze że illustrują nam bohaterskie czasy Skandynawii... Grieg tak jak i Wagner ukochał te czasy dziwne, obce nam zupełnie, choć pełne czaru tajemniczego, czasy wypraw i walk awanturniczych, turniejów, w których za uśmiech lub kawałek wstążki kochanki, miażdżono sobie piersi i odcinano głowy, czasy wiecznie fermentujące i burzliwe i rozwichrzone, w których zbrodnie najstraszniejsze mieszają się tak z czynami bohaterskimi, że trudno nam uchwycić różnicę między niemi, czasy biednych mocarzy, potężnych papieży, cnotliwych rozbójników, pobożnych rycerzy, rycerskich mnichów, olbrzymów woli i ducha, alche-

*) Część murowanego wybrzeża z Pola, gdzie przybijają łodzie.

A. KOZAKIEWICZ



WĘDROWNY MALARZ.

mików, i czarownic... świat bogaty różnorodny i ogromnie nęcący swoją zgrozą i tajemniczością, świat, w którym rozsądek zastanowienie, rozum schodzą na drugi plan, bo nad wszystkiem unosi się nieokiełzana niczem fantazya..

I dziwnem to jest, że Grieg, człowiek zupełnie nowoczesny i postępowy, przeniknął dziwnie i przez intuicyę charakter epoki średniowiecznej i że potrafił tak spiewać jak trubadur za czasów Karola Wielkiego... Forma, instrumentacya, sposób prowadzenia melodyi tych kompozycyj są zupełnie nowoczesne a przecież tkwi w nich jakiś tajemniczy mistyczny i zamierzchły czar. Naprzykład oratoryum „Olaf Trygvalson“: Naprzód modlitwa kapłana — modlitwa spokojna, pogodna, płynąca szerokim strumieniem w niebo... spokój ten jednak już po kilkunastu pierwszych taktach niknie... modlitwa wzrasta, potęguje się w wezbranej piersi kapłana, który, zapominając o wszystkiem, popada w szał religijnej ekstazy i spiewa coraz głośniej, — coraz błagalniej — coraz żarliwiej... potężna, wielka pieśń!...

A potem pogański jeszcze taniec kapłanek w świątyni przy brzęku harf i rytmie kotłów; widać prawie te ciała nagie, nęcące, przeginające się lubieżnie, świecące od olejów matowym blaskiem, widać ten wir nóg pląsających w szale tanecznej ekstazy, co odurza tancerkę i widza i ciągnie go na kraj przepaści... A w piersi tchu nie staje od patrzenia, a kapłani monotonnie mruczą modlitwy, a grają wciąż arfy...

Albo oratoryum „Przed bramą kościelną“. Przygrywka zupełnie Wagnerowska; wśród grania wichru słychać płaczliwy głos dziewczyny, co stuka o bramę klasztorną i błaga schronienia. A surowy głos altowy zakonnicy zadaje dziecku pytania... dziewczynka wtedy opowiada swe smutne dzieje...

Nastrój kolosalny a melodye anielskie prawie... tak, jak i w symfonii do poematu Ibsena „Peer Gynt“.

Żałować tylko możemy, że utwory te wszystkie są nieco za... krótkie.

Grieg pisze utwory krótkie, w których jeden temat, lub najwyżej dwa, bez zmian się powtarzają. Rozkochuje on się tak we własnych tematach, że w całym szeregu późniejszych utworów znajdujemy wyraźne reminiscencye znanych już melodyj. Technika i forma jego kompozycyj jest dość dziwna. Zazwyczaj dzielą się one na trzy części, do których dodane jest zwykle zakończenie. Pierwszy temat rozpoczyna, drugi rozsnuwa myśl twórczą, po którym powtarza się zwykle bez zmiany pierwszy. Mimo tej systematyki w tworzeniu, wszyskie te kompozycye robią wrażenie rzeczy nieskończonych, szkicowanych zaledwie fragmentów jakiejś potężnej, pięknej kompozycyi. Czuć z nich ciągłe dążenie do przełamania wszelkiej formy i praw muzycznych, które krępują tylko wylew uczucia i w chwili, kiedy dusza się rozanieli i rozspiewa, nakładają na nią niewolnicze pęta. Forma jak z jednej strony odpycha Griega, tak z drugiej nęci go bardzo. Ona nadaje utworom jakiś kształt bardziej uchwytny, ułatwia zrozumienie myśli i ma jakiś urok estetyczny, ona też ostatecznie zwycięża. Grieg kończy każdy utwór w należnem miejscu, ale widać, że drzemie w nim skłonność do rozsnuwania melodyi w nieskończoność.

A jak niespodziewanem i tajemniczem jest zawsze zakończenie... W tych kilku końcowych taktach kryje się całe morze z ogromnemi głębiami i przepaściami, bogactwo myśli rozsadza prawie te zawiłe i ciemne kombinacye akordów. Chcę jeszcze zwrócić uwagę na niezwykłe i zupełnie nowe traktowanie lewej ręki. Dotychczas nawet u największych mistrzów była lewa ręka w upośledzeniu, odgrywała ona tylko bierną rolę wtóru, akompaniamentu do tytanicznych wybuchów prawej. Grieg pierwszy wyszlachetnił ją, podniósł i należycie zrozumiał. U niego lewa ręka odgrywa równą rolę z prawą, a niekiedy ma nawet wyższe zadanie. Melodya powzięta prawą ręką przechodzi dalej w lewą, potęguje się, wraca znowu do prawej, słowem zlewa się i łączy w jedną wielką kaskadę tonów, w której niema już żadnej różnicy między spiewem a akompaniamentem. Obie ręce grają pieśń, pieśń duszy stęsknionej, raz namiętną, jak granie krwi w noc dzikich szałów i upojeń, to znów zadumaną, jak Eloe, błądząca nocą po zapomnianych cmentarzach....

Edward Grieg to wielki muzyk, genialny kompozytor, najbardziej oryginalny z całej plejady nowszych muzyków, jedna z tych dusz wybranych, na które spłynęła łaska Ducha Świętego. Ma on także jak wszyscy genialni twórcy, krótkie chwile wyczerpania, kiedy tworzy rzeczy zwykłe i sztuczne. Kompozycye jego wskutek tego, że na wszystkich wycisnęła piętno indywidualność twórcy — wydają się nieco monotonne i podobne do siebie. Ale kto raz zgłębi i zrozumie Griega, ten zawdzięczać mu pewnie będzie wiele chwil pięknych, w których dusza uniesiona na skrzydłach melodyi, jak ptak, zawisa w podsłonecznych regionach,...

Zresztą, żeby dzieło sztuki zrozumieć i przeniknąć zupełnie, trzeba je przedtem ukochać. Miłość dopiero otwiera nam bramę do tego cudownego pałacu kryształowego z baśni i podań i okazuje nam wszystkie ukryte w nim skarby. Wtedy to sztuka staje się jakiemś świętem misteryum cichych zachwytów, łagodnych uniesień i słonecznej ekstazy, w której rozzłaca się nasza istota...

Ile razy usłyszę jaki natchniony utwór muzyczny, zdaje mi się, że na ołtarzu sztuki spełnia się jakaś mistyczna, piękna święta ofiara w której kapłanem jest twórca, ministrantem wykonawca a publiczność tłumem nabożnych, który mszy słucha. Lecz biada temu, kto modli się z książki, lub tak, jak go matka nauczyła. Kto pragnie, aby i na niego spłynął choć jeden promyk tej świętej łaski, która w chwili podniesienia duszy otacza kapłana — musi otworzyć szeroko złociste duszy swej podwoje i modlić się tak z całego serca, naturalnie, po prostu...



Z literatury niemieckiej.

DETLEV LILIENCRON.

POEZYE.

I.

Z grobowych ciemni prześnionych szałów
Zmartwychpowstaję; a moje oczy
W dal senną, rozkołysaną, morskich odmętów
Patrzą w milczeniu, łkań pełnem.

I nigdzie łodzi, ni żagla — na fal rozłogach
Na jasnych, co rozsłonecznione,
W objęciach drżą błękitów —

I wszędzie cicho, pusto..
...Ty mi śmierć niesiesz w swej potędze:
Przyrodo!

II.

Ogniu Ty! duchu płomienny! cóż śniłem o Tobie?

Na urwisku, na skalnem, co wzwyż czarnych bezdni,
Ja i Ty — my obaj — do krwawych stajemy zapasów,
A w nasze członki żądza krwi się wżarła.

Ty rzekłeś: Za wolność, za świętą, chcę umrzeć!
Ja wołam: Me czoło święci królewska korona!

I walki szał, w śmiertelnym uścisku nas zwarł;
Z rozdartych piersi bluzga krew czarna,
A nasze serca stygną.

Lecz zanim śmierć przywarła nam powieki,
Złączyły się w mir wieczny nasze dłonie,
I w pocałunkach zwolna bladły nasze wargi.

Otto Eryk Hartleben.

SFINKS.

SONET.

Złud pełen i fałszu, jako mórz odmęty i jako
Niewieście powaby — na progach błędnych labiryn-
[tów,
Kędy w przepaściach struła blekotem Twych spojrzeń,
Drużyna: czaisz się sfinksie w milczeniu, niosącem

Rozkosze konania tym, co złoto spojrzeń Twoich ssali
W upojeniu, aż żądz Twych szpony, w płomiennej
[orgii
Zszarpały im ciała. I nigdy słoneczne rozbrzaski
Nie wskrzeszą pożądań pieszczoty w ich umarłych
[sercach!

I nigdy cichych tęsknot załzawione strugi, nie zmro-
[czą
Wygasłych ich ócz! — Tylko plugawe, ciemne,
Żarem rozbestwień dyszące, krwi ich fale łechcą Twe

Krągłe, marmurowe piersi, i wokół lubieżnych Twych
Biódr, drżące zataczają kręgi. A niespożyte, głaźne
Twoje serce, ohydny wichr śmiechu, w krużganki
[gna ciemne.

Piotr Altenberg.

TIRLITITI.

Siedziała na murawie, lśniącej pękami traw szmaragdowych. Jedwabne pończoszki, barwy kwitnących lewkonij, wysuwały się z pod jej liliowej sukienki — lecz tkwiące w nich nóżki nie miały jeszcze owej pełni kształtów.

Na imię jej było: Tirlititi — wszak nie każde dziewczątko może się nazywać Tirlititi!...

Uśmiechała jej się jaka piętnasta wiosna.

A woń „violetty de parme“ od niej biła — cała jej istota woniała „violette'ą de parme“.

Ona musiała pachnąć „violette'ą de parme“ — byłoby paradoksalnem kłamstwem, gdyby pachła czem innem....

Lubią one indywidualne wonie — wszystkie — wyjąwszy niektóre!...

A ponad nią rozpływały się jakieś liliowe, słodkie, mdlejące tony świetlne... coś, gdyby przesyt rozsłonecznionych blasków, albo — wiem ja? — pączki czekoladowe z kremem — albo też — wreszcie nie wiem już, co to takiego.

Coś, jak kiedy się zje pasztet z sałatą, następnie słucha Mascagniego a potem czyta Stefana George'a...

Lubię te stworzonka w piętnastych latach.

Lubię one słodkie, liliowe omdlenia i oczy, gdyby jakowychś królewien z bajki i szczupłe, smukłe nóżki, którym albo zupełnie brak jeszcze odpowiedniego zaokrąglenia kształtów, albo — prawie ich niema, albo też lekuchny jakiś nalot dopiero...

Poeta Piotr Neuenthal stał przed nią, ubrany w biały flanelowy kostyum.

Rozkoszował się indywidualną wonią jej majowej dziewiczości — i czekał, aż.. aż pocznie mówić.

Lecz ona myślała:

„Na falach jego serca łódź się kołysze“.

A następnie dalej rozmyślała:

„Sądziłam zawsze, że będę...“ — i westchnęła głęboko, czule, — lecz zupełnie po ludzku...

On zaś myślał:

O! gdyby ją tak wziąć można, ją, tak słodką, liliową, wsadzić do spirytusu, a ciągle mieć przy sobie i nie dać jej przekroczyć onych piętnastu lat...

Lecz w końcu dochodzą lat szesnastu, dwudziestu czterech, trzydziestu;

Następnie wypełniają im się kształty; dostają kochanków, małżonków, noszą gorsety z Paryża, mają dzieci, pożądania, stosunki... to jest brutalnem!

Znów westchnęła...

Poeta rozważał:

„Ona cię kocha — lecz nie jest jeszcze tego świadomą;

Nie ulega wątpliwości, że w niej jest ból...

I spytał ją, czy cierpi.

Blady, przelotny rumieniec zabarwił lica dzieweczki.

A ciepło liliowych tonów w tym nietkniętym akordzie jej ciała podniosło się o jeden stopień...

Mówiła z lekkiem pochyleniem główki: „tak“.

Poeta zapytał cicho i czule:

I na cóż pani cierpi?

Wstała, a drżący, rozszeptany jej głos mówił mu:

„Wszak tego nie mogę panu powiedzieć, — gdy pan tego nie przeczuwasz“.

I nagłe postanowienie, gdyby błyskawica przeleciało jej jaźń.

Zerwała się i pobiegła do domu.

O! teraz wreszcie odczuwam i twe rozkoszne omdlenia i twój ból...

Lecz czyż to, co powszednie, zdoła zniszczyć powab tego, co niepowszednie?

Wszak przyjdziesz znowu Tirlititi, powrócisz.

A wówczas będziesz otoczona słoneczną jakąś aureolą wyswobodzenia.

Poeta czekał.

Trzy minuty, — cztery, — siedem.

Przyszła.

I oto promieniała teraz blaskiem cichej pogody, jako jasne wieczory, spowite w złoto i fiolety, najpiękniejsze w czas, kiedy szał burzy skona.

Szepnęła słodko:

A w głosie jej nie było już onego bólu, jeno śpiewało w nim coś rozkoszny hymn życia.

„Pójdziemy na plac tennisowy?“

. . . .

Tirlititi!

Tłum. H. F.—l.



A.-M.

Pies.

Stoję w gęstych tumanach mgieł i dymu tytoniowego i czekam na rozkwit gwiazd. Ja i ten mój wierny towarzysz i jedyny przyjaciel, bury pies z żółtemi ślepiami. Czekamy na rozkwit gwiazd.

Olbrzymie, miedziano-złote słońce pali się na zachodzie i wiesza po gęstych oparach lśniące perły światła, które drgają nerwowo, i powoli sączą się na wilgotną ziemię. Jedno miedziano-złote, płomienne słońce na zachodzie i setki miedziano-złotych słońc w długich rzędach okien fabryki.

Otóż i jestem w świątyni. Przez szary dym kadzidlanej ofiary Kaina miga czerwone, matowe światło wiecznej lampki, i rzuca po zczerniałych od starości freskach ściennych migotliwe, ruchome, jak żywe srebro, plamy. Kiedym był dzieckiem, pomnę, lubiałem chwytać na małe owalne lusterko uśmiechnięte promienie słoneczne i ciskać je w chmurne oczy ludziom. I cieszyły mnie ich pocieszne miny, gdy wykrzywiali i odwracali twarze, nie mogąc znieść blasku, jaki bił od mego lusterka. Aż raz przyszła mi myśl do głowy: co się stanie, jeśli zedrę czerwoną warstwę z odwrotnej powierzchni zwierciadła. I ta myśl wzierała się we mnie, jak rak w chore ciało, coraz głębiej zapuszczała polipowe odnogi w mój mózg dziecinny i nie mogłem spać, bo mi wciąż szumiało w głowie: co będzie? Więc uciekłem od ludzi, zdrapałem gorączkowo rtęć ze szkła twardym krzemieniem, i lustro przestało odbijać słońce. Wtedy po raz pierwszy załkało moje serce. Dlaczego? Lecz teraz suchem okiem patrzę przed siebie i bawię wzrok migotliwym blaskiem wiecznej lampki.

Pstre, wysokie okna gotyckiej świątyni i świąteczna cisza. I w nieskończoność biegnące równe aleje marmurowo spokojnych bóstw. Lecz gdzie Bóg?... Zupełnie jak w świątyni...

Myśli zaczynają się plątać, a wzrok majaczy.

Mglisty mrok otwiera cicho złoto kutą księgę wizyi.

Jakaś wyolbrzymiała, chuda, sina ręka wyłania się z ziemi i kurczowo rozwarte, szkieletowe palce wyciąga z niemą, dreszczem mrożącą groźbą ku niebu. Od takiej groźby serce bić przestaje — — Słońce na zachodzie stacza się bezwładnie w morze i ciągnie za sobą długi szereg swoich widm po szybach fabrycznych.

Straszna groźba! Cała ziemia łączy się z jej okrzykiem, tylko ja stoję bezwładny i niemy, bo nie mam ani kawałka własnej ziemi, z któregobym mógł głos rzucić w niebo. I naród mój nie ma ani kawałka własnej ziemi. Więc stoi niemy i bezwładny... A rąk przybywa coraz więcej, coraz groźniej ściskają kościste palce, — już ich cały szereg — las — całe wojsko...

To długi rząd topól po obu stronach drogi, nagich, powyginanych burzą, rozszczepionych piorunami. Długi rząd topól....

Więc odnalazłem znów siebie, i wróciły mi własne moje myśli. Zwykle o tej porze zlatują się gromady czarnych ptaków gdzieś z cudzych gniazd, i wypierają rozmachem swego lotu moje własne, blade i anemiczne, kotłują i tłuką się o ściany czaszki, ponurego tumu bez Boga — porywają mózg w fantastyczną orgię. Znów rozpierzchły się i uleciały tam, gdzie je zrodzono, a moje rodzime ptaki wracają. Oto osiadły na zębatym zrębie i boją się wejść, bo wewnątz tak zimno, i strasnie — i odludnie. Jak po zarazie...

Witajcie mi, witajcie miłe gospodyny!

Patrzę na krwawą łunę zachodzącego słońca, a mój wierny pies towarzysz patrzy mi w oczy i widzi w nich krwawą łunę zachodzącego słońca. Dwa do białości rozżarzone strumienie płomiennej lawy — ciężki, wilgotny oddech usypiającej ziemi... i skostniała źrenica słońca toczy się w przepaść.

W jego czerwonym blasku odrzynają się wyraźnie cztery unieruchomione spokojem wieczoru brzozy, odarte z liści jesiennym wichrem. Świecą pożyczanym blaskiem i stoją martwo, a wśród morza blasków cienkie ich gałązki, w dół zwisłe, okapując światłem, wyglądają, jak szklące się lukrowe fontanny na wspaniałych tortach za wystawą cukierni. Całkiem, jak lukrowe fontanny, przykryte delikatną, srebrem tkaną gazą. Bez szelestu wylewa się

w proste równe gościńce, obsadzone szkieletami topól, indygowo-niebieska, zmroczna rzeka z podziemnego gdzieś źródliska, płynie powoli, z majestatem, rozlewa się szerzej i szerzej, a od jej toni sinieją łąki, drzewa, góry, póki w niej nie utoną i nie zleją się w jeden ton z błękitem nieba. I łąki, i drzewa, i góry. Cały świat pławi się w indygowo-sinej fali wieczoru...

Ot, i gwiazdy! Wykwitają na niebieskiej runi powoli wielkie, wilgotne, opiłe nocną rosą, jak oczy zbudzonej z marzeń kochanki.

Tajemne oczy.. gwiazd magiczne oczy... Te, które błękitnym łukiem spadną wkrótce w nieskończoność, i te, co będą roniły wilgotne łzy blasków na zgon ziemi. Źrenice nieskończoności...

Piję w upojeniu ich tajemny blask, a pies mój towarzysz pije ich blask z moich źrenic.

Gwiazdy!

I nie masz już was w moich oczach, bo je wypił mój wierny towarzysz — i pocóż czekać? Żegnajcie.

Przez niebo ciągnie długi klucz odlatujących ptaków i śpiewa olbrzymią wagnerowską pieśń pożegnalną pielgrzymów. Zakryły mi gwiazdy swoją mgławicą — a teraz toną w nadętej chmurze, co jak Lewiatan trzymając w paszczy własny swój ogon, opasała żelaznym, zardzewiałym obręczem cały widnokrąg.

Wędrowny chór pielgrzymów utonął w jej mrokach, a Tannhäuser samotny i opuszczony rozdziera na wrzącej piersi włosienną szatę i tłucze rozpaloną głową o kamienne stopnie krzyża, tęskniąc do świętego gaju marzeń i do boskiego łona Wenery. Zesztywniały mu palce, głos uwiązł w spalonem gardle, a przecież złotostrunna harfa porzucona przez mistrza dźwięczy jękiem konających bez łaski skonu, a z nią współdźwięczy sztywna i uschła trawa hen, hen aż pod stopy tronu bogini.

Chór pielgrzymów... Chwytamy ostatnie tony milknącej pieśni: Tannhäuser, ja i ten mój pies przyjaciel...

Wenus! Źrenico nieba!

Wenus!

— — — — — — — — — —

Jakiś obrzymi cień idzie ku mnie. Swojem brzemiennem cielskiem zasłania mi świat z przed oczu, i huczy bezdenną pustką, jak muszla przyłożona do ucha. Toczy się wilgotną ziemią po zroszonej trawie i wali ku mnie. Niech się spełni... Położę się na twarz, na ustach położę dłonie... i będę czekał. Mam przy sobie kilka monet: to dla archeologów. A na palcu złoty pierścień z opalem i dyamentami: to dla biednego rolnika, który orząc wykopie me szczątki z pod ławy. A może puste serce? Leżę cicho, czekam. Niech przyjdzie. Czekam na śmierć i śpiewam na jej powitanie: „Hosanna“! A mój biedny pies?

Widocznie jestem chory i opadają mnie upiory, jak małe dziecko w ciemnym pokoju. Pod memi nogami kłębi się i wije cień padający od dymu, wydechanego przez komin fabryczny. Chciałem zawołać „Hosanna“ i głos złamał mi się w krtani.

W fabryce zabłysły równocześnie setki elektrycznych świateł i od ich blasku zbladła harmonia gwiazd. I nic już nie widać, tylko owe jasne, srebrne światła, błyszczące jak świeżo w obieg puszczone niklowe monety. Monety...

Ktoś się zbliża: pewnie robotnik na nocną pracę do fabryki. W mózgu huczą mu trąby pobudkę do walki, a serce rozbrzmiewa radosną nowiną: „Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!“

Mój wierny pies rzucił się za nim i rozdarł jego spłowiałą, osmarowaną mazią odzież. Odpędził go kijem, nawet nie popatrzył na szkodę i począł biedz coraz szybciej ku fabryce.

„Proletaryusze wszystkich krajów...“

Pies przyłasił się do moich stóp i patrzył mi w oczy tkliwie i poddańczo. Pewnie zdawało mu się: Potargałem obdartusa... albo: Ocaliłem życie memu panu...

Gwiazdy zbladły, a w fabryce taka jasność! Pójdziemy do dom, mój wierny przyjacielu...

Przedemną cztery samotne brzozy, jak przedtem nieruchome i martwe, ale bez blasku. Między gałęziami czai się sine niebo, ciemne kontury fabryki i elektryczne oczy świateł... Gdybym umiał, wymalowałbym ten obrazek natury indygowosiną farbą, oprawił w indygowo-sine ramy i pokazał ludziom.

I byłbym sławnym, co?

Ludzie przechodziliby mimo, kiwali z politowaniem głowami i uśmiechali się znacząco:

Któż widział dawać takie sine... ramy...

A potem przyszłabyś Ty, moja Milcząca, i długo stałabyś przed obrazem z indygowo-sinym napisem, i wtedybyś szepnęła: Namalował moją duszę... I dwie łzy stoczyłyby się na ziemię. Dwie łzy...

I byłbym sławnym...

A ludzie kiwaliby znacząco głowami, i obrazu nie przyjętoby pewnie na Wystawę sztuk pięknych...

Zacząłem szybko biedz ku miastu, a przedemną wesoło poszczekiwał pies. Był głodny...

Mimo przeszedł szybko w kierunku fabryki zbrojny oddział wojska. Oficerowie rozprawiali wesoło, żołnierze szli miarowym krokiem, a na ich czołach drzemały chmurne myśli. Patrzyli na elektryczne lampy, płonące w fabryce.

A jakżeż przyjmowano wojska napoleońskie, wkraczające w mury Warszawy? Szli na wielką, bohaterską rzeź ludzi, więc naród skakał z radości i uniesienia, podrzucał czapki w górę, potrącał łańcuchami i wołał: Wiwat wojsko! Wiwat swoboda!

I ja chciałem podskoczyć z radości w górę, gdym patrzył na te marsowe, strojne szeregi, i chciałem cisnąć pod obłoki wilgotnym kapeluszem i wrzasnąć z całej piersi: Wiwat wojsko! Wiwat swoboda!

Ale teraz kajdan na ręce nie zakładają, a pies mój, biedaczysko, tak zgłodniał...

M. RODOĆ.

PRAWDA.

Kiedy-m był młody, kładziono mi w uszy:
„Mów zawsze prawdę, a będziesz ceniony.“
I tak te słowa wlazły mi do duszy,
Że-m prawdę sypał bliźnim bez osłony.

Mówię do ciężko chorego kuzyna:
„Doktor powiedział: kaput! już po tobie.“
Kuzyn naprawdę umarł, a rodzina
Wrzasnęła: „Tyś nas pogrążył w żałobie.“

Poznałem wdowę zacną i bogatą,
Byłaby dzisiaj moją żoną miłą.
Raz ją nazwałem: „Moje babie lato!“
I to jej serce całkiem ochłodziło.

Do naczelnika, co rządził niegodnie,
Rzekłem: „Pan jesteś licha kreatura.“
Nim upłynęło dwa, czy trzy tygodnie,
Jak najformalniej wyleciałem z biura.

Dziś doświadczeniem nauczony srodze,
Choć serce moje prawdę zawsze ceni,
Nigdy jej bliźnim nie kładę na drodze,
Lecz ją dla siebie chowam do kieszeni.

BERTOLD MENKES.

Zdrowie...?

Durch der grossen Marter Ehr'
Geh' und sündige nicht mehr!

Z formuł inkwizytorskich.

Na miły Bóg, nie popełniaj pan, panie Gustawie Kohn, więcej tak śmiertelnych grzechów wobec społeczeństwa i literatury polskiej i daj sobie pokój z wynajdywaniem geniuszów domorosłych! Grzech to śmiertelny! Robić z porządnych ludzi na gwałt literatów, zawracać filistrom, pannom wyczekującym męża i studentom z prowincyi głowy „twórczością literacką“ — to, co najmniej — — — niesumienność. Powstają potem całe zgraje tych poetyzujących zjadaczy chleba, którzy wstydzą się imać uczciwej pracy zawodowej, ale za to stosami całymi piętrzą „dzieło swego życia“, mają głowę zawróconą myślą o sławie, wielkości, pomnikach, wieńcach laurowych, latami całymi się nie pojawiają w salonach fryzyerskich, a całymi dniami i nocami „zalewają robaka“ — przekonani, że w ten sposób może doczekają się objawienia skrzydlatego geniusza, zwanego: „Natchnienie“. Robak tymczasem toczy im ciało, a skrzydlatego geniusza jak nie ma, tak nie ma... Wreszcie: szpital... zakład wodoleczniczy... kulka w łeb... — co kto woli.

I po co wytwarzać sztucznie pesymizm u ludzi, którzyby go z pewnością nie zaznali, gdyby nie wydawnicza mania niektórych panów, czujących się powołanymi do dostarczania rokrocznie ojczyźnie kilkunastu kandydatów na wieszczów narodowych.

Jednym z takich fabrykantów jest p. Gustaw Kohn, były wydawca „Roczników samborskich“, obecnie redaktor raz tylko na rok — Bogu dzięki! — się pojawiającego tomu zbieraniny literackiej p. t. „Zdrowie“.

Zdrowie?... Panie Gustawie Kohn! — alež literatura nasza, cierpiałaby na nieuleczalny zanik, na uwiąd starczy, gdyby jej wyrazem, jej symbolem miały być podobne wydawnictwa, jak właśnie „Zdrowie“.

440 stronic druku zapełnił p. Kohn bądźto pracami swojemi, bądź swych współpracowników. Czyż nie byłby to czyn bardziej społeczny, bardziej patryotyczny, gdyby p. Kohn papier poświęcony na wydrukowanie swego „Zdrowia“ był zużył np. na zeszyty dla biednych dzieci, lub na inny „hygieniczny“ cel...

Pojmuję zupełnie, że młodym, silnym talentom, nie mającym dotychczas „firmy“ literackiej, a temsamem wstępu do poczytnych pism peryodycznych, trzeba zachęty i pomocy w formie organu, dającego im pole do popisu i obywającego ich z drukiem. Niemcy np. posiadają nawet specyalne pisma, poświęcone temu celowi. Ale jakżeż inaczej, jak ostrożnie, sumiennie i subtelnie są one redagowane!

Powiadają księgi neo-budyjskie: Sattyât nasti parô drahmah. (Niema wyższej religii nad prawdę). Ach, ile prawdy i bezstronności w ocenianiu wymaga sprawowanie funkcyi ducha opiekuńczego kiełkujących pracowników na niwie literackiej! Tu nie wolno kierować się litością, znajomościami, lub protekcyjkami, ale bez ogródek wytłumaczyć młodemu adeptowi sztuki: Nie tędy droga do szczęścia na ziemi a sławy po śmierci! Szukaj bratku gdzieindziej...

Pan Kohn n. p. nie ma pojęcia (mimo swej wieloletniej praktyki na tem polu) co to znaczy „bryndza literacka“, której trzeba koniecznie wskazać drogę do kosza, a jej twórcy do opamiętania się. U niego każdy utwór poetyczny, byle tylko był napisany po polsku, bez błędów ortograficznych, byle posiadał odpowiednią ilość zgłosek we wierszu, a bylejaką harmonię w końcówkach wierszowych — wchodzi tem samem do świątyni sztuki jako jeden z jej świeczników. To nie „sztuka“, panie Kohn, w prawdziwem tego słowa znaczeniu, to nawet nie „literatura“, to partactwo, rzemiosło, mizerota, tułająca się, jak błędny rycerz po Bożym świecie, zanim toń zapomnienia nie pogrąży jej w wiecznych mrokach.

Umyślnie nie wdaję się w szczegółowy rozbiór „prac“, zawartych w „Zdrowiu“. Chcę przez to zaznaczyć, że nie chodzi mi o poszczególny ten wypadek (pan Kohn i jego szanowni współpracownicy ostatecznie nie zaszkodzą literaturze, która wydała Mickiewicza, Słowackiego, a w której pracuje Sienkiewicz, Kasprowicz i Żeromski), ale, że ogólna mania literatyzowania i poetyzowania, wytwarzająca jedną z chorób społecznych, tylokrotnie omawianą, jako hyperprodukcya literacka — sprowadza mimowoli twórczość prawdziwą w oczach ludzi, dla których jest przeznaczoną, z piedestału wzniosłości i misteryów ducha, do rzędu mechanicznych i dyletanckich ponadto robót.

Jeśli chcemy mieć usilnioną, prawdziwie zdrową literaturę — wystrzegajmy się popierania produkcyi i popisów niedowarzonych geniuszków!

A więc czyśćmy sferę Piękna z naleciałości! Wówczas nie będziemy mieli literatury i literatów, ale sztukę, twórczość i prawdziwych twórców.

Wówczas każdemu dziełu śmiało, bez przesady i... ironii będziemy mogli dać epigraf: „Zdrowie“.

G. Ł.

Z Berlina

Kronika artystyczna.

W sierpniu.

Berlińczycy dumni są z tegorocznych salonów. Porównywują oni wystawy tegoroczne z tem, co widziano w Berlinie przed kilkoma laty i przekonani są na seryo, że stolica nadsprejska zalicza się już dzisiaj do największych ośrodków artystycznego świata. Daleko jeszcze do tego. Wprawdzie i Berlin ma dziś dwie wielkie wystawy doroczne podobnie, jak Paryż, ale jakaż różnica już w samej ilości dzieł sztuki W Paryżu widzimy około ośmiu tysięcy obrazów i rzeźb; w Berlinie wielka wystawa (przy Lehrter Bahnhof) liczy 2250 dzieł, secesya przeszło 200, razem tedy wystawia Berlin około 2700 dzieł. I gdyby to były przeważnie prace artystów berlińskich! Ale trzeba wiedzieć, że zarówno wielka wystawa, jak secesya, w interesie artystycznej sławy Berlina faworyzują artystów zagranicznych bardziej, niż którekolwiek w Europie stowarzyszenie artystów. W Peszcie n. p. tylko co lat parę dopuszczają do wystaw artystów zagranicznych, chcąc przyzwyczaić miłośników sztuki do nabywania dzieł węgierskich. Ale ten rodzaj protekcyi nie jest znanym w Berlinie, może dlatego, że niema się czem zbytnio chwalić. Komitety wystaw tak dysponują zaproszenia, by się móc pochlubić jak największą liczbą imion zagranicznych, a natomiast, wobec artystów berlińskich, postępują z całą surowością. Wielką wystawę w tym roku możnaby nazwać wystawą skandynawską, do której dopuszczono też pewną ilość artystów niemieckich. Są też i polscy malarze nasi i ci, oczywiście, przedewszystkiem interesują polskiego czytelnika.

Im też główną poświęcając uwagę, na pierwszem miejscu wymienię obraz Wojciecha Kossaka (ulubieńca cesarza Wilhelma, który właśnie chciał wysłać artystę do Chin, aby, bawiąc przy sztabie hr. Waldersee, czynił szkice wojenne). Obraz ma nazwę: „Walka o chorągiew“. Jest to epizod z walk r. 1807. Werwa malarza doścignęła w obrazie tym brawurę huzarów, którzy ocalili sztandar pod Heilsbergiem. Niezrównaną jest zamaszystość nacierających, zawzię̄tość obrońców. Kossak posiada w rzadkiej mierze sztukę dysponowania nielicznych względnie figur tak, iż wywołują wrażenie zbitej, olbrzymiej masy. Na pierwszym planie wpadł mi w oczy świetnie malowany huzar o charakterystycznym, orlim profilu i czarnym wąsiku: łatwo w nim poznać samego artystę.

Juljan Fałat, oddawna znany za szczytnie publiczności berlińskiej, występuje w tym roku, jako malarz historyczny i pejzażysta. Nie dziwiły berlińczyków „Łosie w bagnach“, namalowane wybornie, ale odpowiadające dawnemu kierunkowi Fałata; zdumienie natomiast wywołał — i to nawet w kołach artystów — jego „Napoleon pod Berezyną“.

Z uznaniem wyraża się krytyka o Wychodzcach“ i „Wesołej jeździe“*) Wierusza Kowalskiego. — Nie wiem, czy estetyka Nikutowskiego, zdolnego malarza krajobrazów z Düsseldorfu, zaliczyć wolno do rzeszy artystów polskich. — W oddziale malarzy austryackich, świeżo inaugurowanym, mieści się prześliczny obrazek Zygmunta Ajdukiewicza: młodziutka dziewoja wiejska, dosiadłszy na oklep rumaka, puszcza się dla żartu galopem po łące; z biedą dogonił ją młody parobczak, czuwający nad koniem. Obraz ten malowany jest szarą farbą olejną tak misternie, że sprawia wrażenie kartonu kredkowego.

*) Obraz ten reprodukowaliśmy w Nr. 42. *Tygodn. Narod.* — Przyp. Redakcyi.

Pewne rozczarowanie sprawiły mi tegoroczne portrety Kazimierza Pochwalskiego. Wprawdzie z przyjemnością widzę, że Pochwalski, który dawniej zbyt wyłącznie kultywował portret męski, obecnie ze smakiem i finezyą wykonywuje też portrety kobiece, — jednak płótna jego dzisiejsze, porównane z portretami hr. Dzieduszyckiego, Popiela, lub Sienkiewicza, okazują jakoby zmęczenie. Jest to zapewne zjawisko przemijające. I w portrecie Leopolda Horowitza brak mi czegoś, co się określić nie da, a co się tłumaczy tem może, że model artysty nie zajmował.

W dziale illustratorów poczesne miejsce dostało się rysunkom E. M. Liliena, młodego Galicyanina, który, przeszedłszy przez szkołę krakowską i monachijską, od dwóch lat pracuje w Berlinie. Lilien nie poprzestaje, jak większość jego kolegów, na rysowaniu plakatów, opraw ozdobnych i illustracyj do danego tekstu; należy on raczej do owych poetów, których ołówek, miasto rymów, kreśli postaci. Specyalnością jego są kompozycye, nie illustrujące obcych myśli, lecz same zawierające myśl tak poetyczną, częstokroć tak głęboką, lub zawiłą, że raczej wyzywają komentarze literackie i inspirują poetę, miasto być ucieleśnieniem jego pomysłów. Tego rodzaju jest „Amor, grający na sercu ludzkiem“ i pyszna satyra na „Lex Heinze“. Znane i popularne, nawet poza granicami Niemiec, są jego rysunki "Ex libris“. W pracowni Liliena widziałem też szkice do kilku prac, zamówionych u niego przez kilku wydawców z kraju, oraz szereg kart pocztowych, illustrujących baśni polskie. Do udatniejszych ostatnich prac Liliena zaliczam też dyplom dla ochotniczej Straży ogniowej we Lwowie. Po raz pierwszy zapewne św. Floryan spotkał się tu z ornamentacyą secesyonistyczną...

Wspomnę jeszcze o zajmującym obrazie, wprawdzie nie pędzla polskiego, ale przedstawiającym wielką chwilę z epopei polskiego bohaterstwa. Emil Wanters, malarz holenderski, mieszkający w Paryżu, urządził w Berlinie zbiorową wystawę prac swoich. Otóż najwybitniejsze i zarazem największe rozmiarami płótno jego wyobraża Sobieskiego pod Wiedniem. Nie jest to jednak obraz historyczny o wielkich figurach, według dawnej malowany maniery. Widzimy olbrzymi krajobraz, ścielący się pod Kahlenbergiem, a w nim drobne, lecz charakterystycznie oddane figurki Sobieskiego i jego towarzyszy. Nie sądźcie, by ten sposób traktowania przedmiotu sprawiał ujmę jego wielkości. Pojęcie realistyczne przeprowadzone tu jest bardzo szczęśliwie, bo widzowi zdaje się, że spostrzega istotnie wielkiego wodza gdzieś zdaleka na olbrzymiem polu bitwy...

Z rzeźbiarzy na wielkiej wystawie jedyny Antoni Madejski zastępuje rzeźbę polską. Nadesłał on z Rzymu wdzięczną, małą Medyolankę, wykutą w marmurze, oraz maskę kobiecą z bronzu, wyobrażającą „Cierpienie“. Jest to rzecz pełna wyrazu.

O secesyi zastrzegam sobie słowo w liście następnym.

Nasze kresy.

— Dom polski w Morawskiej Ostrawie.

Idąc za przykładem Czechów i Niemców, mających własne „domy narodowe“, tj. siedziby, skupiające miejscowe stowarzyszenia kulturalne i narodowe, Polacy, zamieszkali w Morawskiej Ostrawie (na pograniczu Śląska Cieszyńskiego i Moraw), wystawili sobie dom narodowy, nazwany „Domem Polskim“. Gmach ten, wartości 130,000., zebranych drogą nader drobnych udziałów, mieści w sobie restauracyę i kuchnię ludową, salę teatralną i odczytową, salę szkolną, wypożyczalnię książek, biuro Tow. szkoły ludowej, kasyno, wkrótce umieszczona w nim będzie filia polskiego Banku Rolniczego z Frysztatu, następnie założone zostaną: Tow. gimnastyczne „Sokół“, uniwersytet ludowy, biuro pośrednictwa pracy, redakcya *Gaz. Ostrawskiej*, która wkrótce wychodzić zacznie itd.

„Dom Polski“ został w sierpniu rb. wykończony zupełnie i oddany do użytku, a dnia 8-go i 9-go września r. b. nastąpi uroczyste jego otwarcie, według programu takiego: d. 8 1) Pochód uroczysty do kościoła na nabożeństwo; 2) Wręczenie kluczów i poświęcenie gmachu; 3) Obiad; 4) Odczyt „Uniwersytetu ludowego“; 5) Przedstawienie teatralne i zabawa taneczna. Dn. 9 go: 1) Zwiedzanie miasta i okolicy; 2) Kiermasz z loteryą fantową; 3) Odczyt „Uniw. ludowego“; 4) Przedstawienie teatralne, po którem biesiada pożegnalna dla gości i zabawa z tańcami.

Przy tej sposobności członkowie Zjazdu zapewne obmyślą kwestyę założenia szkoły polskiej w M. Ostrawie. Dotychczas są tam tylko szkoły czeskie i niemieckie.

— Organizacya Polaków na Śląsku. Do „Kur. Lwowsk.“ donoszą, że na Śląsku wyłoniła się myśl zorganizowania się wszystkich żywiołów polskich, bez różnicy wyznania i przekonań politycznych.

Centrem organizacyi tej, której formy jeszcze nie są dostatecznie ustalone, byłby Cieszyn, a w każdym powiecie, gdzie tylko znajduje się chociażby mała nawet garstka Polaków znajdowałyby się poszczególne reprezentacye, zależne po części i razem działające z główną reprezentacyą cieszyńską.

Takie zespolenie sił ułatwiłoby Polakom śląskim obronę praw narodowych nietylko przeciw Niemcom, ale i przeciw Czechom, którzy coraz więcej poczynają wydzierać Polakom szkół i kościołów. Postępowanie Czechów na Śląsku nie świadczy bynajmniej o owem braterstwie słowiańskiem, na które lubią powoływać się w stosunkach parlamentarnych tam, gdzie im Słowianie są potrzebni.

Wiadomości bieżące.

× Odbudowanie wieży Jasnogórskiej. W tych dniach powrócili do Warszawy z Częstochowy budowniczowie Dziekoński i Szyller. Brali oni udział w naradach w sprawie odbudowy spalonej wieży klasztoru Jasnogórskiego. Po szczegółowem jej zbadaniu okazało się, że fundamenty są w stanie jak najlepszym i znieść mogą doskonale ciężar zaprojektowanej nadbudówki. Kondygnacya ostatnia 8-kątna ma być rozebrana aż do kondygnacyi czworokątnej, albowiem ta pierwsza uszkodzona przez pożar, nie daje rękojmi trwałości. Styl, kształt nowej i jej wysokość będą ściśle zastosowane do wyglądu i wymiarów wieży spalonej, przytem konstrukcya szczytu wieży będzie żelazna i o tyle fundamentalna, że w jej wnętrzu można będzie zawiesić ciężkie dzwony kościelne, dotąd umieszczone w dzwonnicy osobnej. Projekt urządzenia na jednem z górnych pięter murowanych rezerwoaru z wodą, hydrantami, da się urzeczywistnić, przytem hydranty będą w ten sposób przeprowadzone, ażeby w razie ognia zalać można było dach kościoła i pokrycie przyległych kaplic i zabudowań klasztornych. Konstrukcya żelazna wieży pokryta będzie zewnątrz miedzią. Schody wewnętrzne wieży urządzone będą do samego jej szczytu. Odbudowania wieży podjęli się społem budowniczowie Szyller i Dziekoński, którzy też przystąpić mają niezwłocznie do wypracowania szczegółowych planów i kosztorysu. Według wyrachowań przypuszczalnych, koszt odbudowania, przy uwzględnieniu wszystkich wyżej wymienionych projektów, wyniesie, jak donosi *Kuryer Warszawski*, około 200.000 rubli. Taki też fundusz potrzebny będzie na cel wymieniony i o takiej sumie zawiadomiono władze, w celu unormowania wysokości składek na odbudowę.

× Bruno Abakanowicz, były docent politechniki lwowskiej, zmarł nagle w Paryżu 30. sierpnia br. Śmierć zaskoczyła go w czasie odwiedzin, kiedy przyjmował u siebie Henryka Sienkiewicza.

Zmarły był znakomitym matematykiem i elektrotechnikiem. Urodził się w r. 1852 w Wiłkomierzu.

Kształcił się w szkole politechnicznej w Rydze. W r. 1881 osiadł w Paryżu, gdzie oddał się elektrotechnice. Wynalazł: integrator, przyrząd służący do obliczania wartości liczebnej całek metodą graficzną; dzwonek elektryczny, wprawiany w ruch działaniem prądów magneto-elektrycznych, zatem bez pomocy stosów, oraz lampę elektryczną własnego systemu. Znaczną liczbę prac ogłosił w różnych czasopismach polskich, oraz oddzielnie, jak *„Zarysy statyki wykreślnej“* (Lwów 1876); *„Integrator, krzywa całkowa i jej zastosowanie w mechanice budowniczej“*. Zbudował też kilka przyrządów do mechanicznego kreślenia linij krzywych. W r. 1889 był reprezentantem Stanów Zjednoczonych na wystawie powszechnej w Paryżu.

× Manewry w Galicyi, które rozpoczynają się 10. bm. i potrwają do 15. bm., poruszyły wszystkich żandarmów w kraju, a starostom zachodnich powiatów przyczyniły niemało troski i pracy. Władze węgierskie otrzymały wiadomość, że przez Węgry przekradają się do Galicyi na czas manewrów cesarskich czterej włoscy anarchiści, mianowicie: Emil Caprini z Wenecyi, Jan Tomarosso z Biella, Jan Bosso z Porto Veraglio i Antonio Grassi z Livorna. W Jaśle zatem, gdzie będzie kwatera cesarska, zarządzono nadzwyczajne środki ostrożności, dość nawet dokuczliwe dla ruchu podróżnych. Temi dniami bawił tam namiestnik hr. Piniński, ażeby osobiście przekonać się o przygotowaniach na przyjęcie cesarza.

Cesarz z arcyksięciem Rainerem przybywa 10. bm. do Krakowa, gdzie na dworcu kolejowym zatrzyma się, ażeby przyjąć deputacye władz i reprezentacyj autonomicznych; następnie uda się wprost do Jasła.

× Godność tajnego radcy nadał cesarz ministrowi dla Galicyi, dr. L. Piętakowi.

× Nowe Gniazdo sokole zawiązuje się w dniu dzisiejszym na zagrożonych przez germanizacyę kresach Galicyi — w Białej. Na tę uroczystość wysyłają Towarzystwa sokole z zachodniej Galicyi liczne deputacye. Powstanie „Sokoła“ w Białej przyczyni się niemało do utwierdzenia narodowego żywiołu w mieście, które jest znamiennym dowodem polskiej naszej bezradności i niedbalstwa o interes narodowy.

× W Bukareszcie wykryto spisek emigrantów bułgarskich, uknuty na życie króla Karola. Znaleziono nawet w pomieszkaniu jednego ze spiskowych bombę, którą zamierzano rzucić na powóz królewski. Podobno król Karol polecił, ażeby nie rozgłaszano szczegółów spisku, a aresztowanych Bułgarów jedynie wydalono z kraju. Wogóle pomiędzy Rumunią a Bułgaryą zapanowały obecnie stosunki dość chłodne.

× Kongres folklorystyczny. Po tylu innych kongresach naukowych w czasie wystawy paryskiej, przychodzi obecnie kolej na naukę najmłodszą, tj. na ludoznawstwo. Kongres ludoznawczy odbędzie się w dniach 10. do 12. września. „Sociéte des traditions populaires“, które wydaje jedno z najlepszych czasopism ludoznawczych „Melusine“, wzięło w swoje ręce organizacyę kongresu, który będzie drugim z rzędu w tej dziedzinie wiedzy. Pierwszy bowiem kongres folklorystyczny odbył się przed kilku laty w Londynie, a wyniki jego obrad wyszły w osobnym tomie. Obecny kongres dzielić się będzie na dwie części, a mianowicie na oddział językoznawczy i ludoznawczy w ścisłem znaczeniu. Przedmiotem obrad tego oddziału będzie początek i rozszerzanie się podań, legend i pieśni ludowych, zabytków najstarszych, zabytków literatury ludowej i sztuki. Zwyczaje ludowe znowu będą przedmiotem obrad drugiego oddziału, a mianowicie zwyczaje przy urodzinach, weselach i pogrzebach, kult zwierząt, kamieni, drzew i źródeł, ludowa medycyna, zabobony, czary etc.

TEATR.

Ostatnie wieczory w teatrze hr. Skarbka.

(Przegląd dramatu, komedyi i muzyki od r. 1842. do 1900.)

ułożył Adolf Walewski, reżyser teatru hr. Skarbka.

I. wieczór dnia 2. września 1900.

I. Uwertura. II. Fircyk w Zalotach, kom. Fr. Zabłockiego. III. Barbara Radziwiłłówna, tr A. Felińskiego. IV. Krakowiacy i Górale, zabawka dr. ze śpiew. I N. Kamińskiego. V. Damy i Huzary, kom. A. Fredry (ojca). VI. Karpacsy górale, dramat J. Korzeniowskiego. VII. Muzyka, (wyjątki z opery współczesnej.)

II. Wieczór dnia 3. września 1900.

I. Uwertura. II. Konfederaci Barscy, Ad. Mickiewicza. III. Kordjan, poemat dram. Jul. Słowackiego. IV. Panie Kochanku, kom. J. I. Kraszewskiego. V. Zosia Przybylanka, kom Fr. Skarbka. VI. Halszka z Ostroga, dramat histor. J. Szujskiego. VII. Kościuszko pod Racławicami, obraz lud. Wł. Anczyca.

III. wieczór dnia 5. września 1900.

I. Uwertura. II. Dramat Jednej Nocy, dram. w 1. akcie A. Urbańskiego. III. Spiew, (wyjątek z oper. współ.) IV. Gwiazda Syberyi, dram. L. Starzeńskiego. V. Stryj przyjechał, kom. w 1. akcie W. Koziebrodzkiego. VI. Posażna Jedynaczka, kom. w 1. akcie J. A. Fredry (syna). VII. Oblężenie Lwowa, dram. hist. K. Brzozowskiego. VIII. Spiew, (wyjątki z oper współczesnych).

IV. wieczór dnia 6. września 1900.

I. Uwertura. II. Przed ślubem, kom. K. Zalewskiego. III. Grube Ryby, kom. M. Bałuckiego. IV. Mąż od biedy, kom. w 1. akcie J. Blizińskiego. V. Ach Panie, M. Gawalewicza. VI. Urocze oczy, kom. Z. Sarneckiego. VII. Dzieciaki, kom. w 1. akcie L. Świderskiego. VIII. Królewicz, kom. I. Lubowskiego. IX. Bzy kwitną, kom. w 1. akcie Z. Przybylskiego.

V. wieczór dnia 7. września 1900.

I. Uwertura. II. Wujaszek Alfonsa, kom. w 1. akcie S. Dobrzańskiego. III Mąż z grzeczności, kom. A. Abrahamowicza i R. Ruszkowskiego. IV. Lorenzo i Jessyka, kom. w 1. akcie L. Kwiecińskiego. V. Popychadło, kom. I. Szutkiewicza. VI. Hulaj Dusza, widow. scen. Adolfa Walewskiego. VII. Spiew, (wyjątki kompozytorów współczesnych).

VI. wieczór dnia 8. września 1900.

I. Uwertura. Bunt Napierskiego, poemat dramat. J. Kasprowicza. III. Lelewel, dramat Wyspiańskiego. IV. Sybir, dramat narodowy J. Maskoff. V. Z dobrego serca, kom. w 1. akcie L. Rydla. VI. Pieśni, Jana Galla.

VII. wieczór pożegnalny 9. września 1900.

I. Spazmy Modne, kom. Wojciecha Bogusławskiego. II. Dziady, A Mickiewicza. III. Balladyna, J. Słowackiego, (T. Nowakowska). IV. Żydzi, kom. J. Korzeniowskiego, (Aron, p. Fischer). V. Zemsta, A. Fredry. (P. Dębicki-Dyndalski). VI. Śluby Panieńskie, Fredry, sztuka, którą w r. 1842 rozpoczęto teatr hr. Skarbka.

Utwory Żeleńskiego, Jareckiego, Moniuszki, Noskowskiego. Epilog Rossowskiego. Obraz z żywych osób.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Niema sensu. Czesi podjęli inicyatywę do zwołania w bieżącym miesiącu w Pradze wiecu rękodzielników i przemysłowców słowiańskich.

W tych dniach bawiło nawet we Lwowie dwóch Czechów, celem namówienia rękodzielników naszych do obesłania wiecu. Czechom rozchodzi się przedewszystkiem o to, aby wiec uchwalił, że w Pradze ma rezydować ciało centralne, któreby było węzłem, łączącym rękodzielników polskich, ruskich, czeskich, morawskich i słoweńskich z wyłączeniem Niemców. Izba rękodzielnicza lwowska nie powzięła jeszcze uchwały i celem decyzyi zwołuje na 16. bm. wiec rękodzielników z całej Galicyi.

Naszem zdaniem, kwestya narodowościowa w stosunkach przemysłowych w tym właśnie wypadku nie ma sensu. Dla naszego przemysłu Czesi są równie niebezpiecznymi, jak Niemcy i dla solidarności słowiańskiej zgoła nie uczynią ofiary ze swej wyższości na polu przemysłu.

Pojmujemy krajową politykę przemysłową, ale o „słowiańskiej“ nie słyszeliśmy i uważamy ją za absurdum, jeżeli nie za dowcip Czechów, który radziby wyzyskać dla swego przemysłu łatwowierność polską.

Towarzystwo zawodowych ogrodników we Lwowie nadsyła nam komunikat następujący:

„Tylko zdrowe ziarno wyda zdrowy owoc.“ Wychodząc z tego założenia, umieściło Towarzystwo zawodowych ogrodników w rozesłanym kwestyonaryuszu, przy programach wystawy sadowniczej, pytanie (12) „czy płonki w ewentualnie znajdujących się szkółkach drzew owocowych pochokzą z ziarn drzew dzikich lasowych, czy ze sprowadzanych?“ Pytanie to jest jedno z najważniejszych.

Wiadomo bowiem powszechnie, że stare nasze sady były szczepione na płonkach dzikich, branych wprost z lasu; były więc zdrowe i długowieczne. Trwało to tak długo, dopóki nie zaczęliśmy — wskutek ułatwionej komunikacyi, łatwości otrzymania i taniości, sprowadzać ziarna z zagranicy, lub używać z owoców spożytych na miejscu. — I stało się to jednym z bardzo licznych powodów upadku naszych sadów.

Tak bowiem w jednym wypadku, jak i w drugim, pochodzą te ziarnka z owoców szlachetnych, a więc z delikatnych, najczęściej z drzew zakażonych rozmaitemi chorobami, stąd też płonka, jaką z takiego ziarnka otrzymamy, ma słój czyli budowę tkanek miękką, rozpręźliwą, przez którą soki wciągnięte ze ziemi obficie krążą i drzewo buja, a ponieważ u nas zimy są długie i śnieżne, a lato krótkie, chłodne i mało słoneczne, więc drzewo wybujałe nie stężeje, niezdrewnieje, lecz pozostanie w stanie zielnym przed nastaniem mrozów, które go częściowo, lub całkowicie niszczą.

Chcąc więc zapobiedz tym powodom upadku sadów naszych, powinniśmy używać płonki z nasienia z drzew dzikich lasowych, które mają słój tęgi, ściśnięty, soki nie krążą tak zbficie i drzewko nie buja tak silnie, ale lepiej dojrzewa i mrozy nie tak łatwo mu szkodzą. — Przytem drzewa dzikie prawie zawsze są zdrowe, nie mają raków, zgorzeliny bladnicy itp. chorób, odpada więc i ten powód niszczenia sadów.

Dlatego też postanowiło Towarzystwo pośredniczyć — między sprzedającymi a kupującymi — w rozpowszechnieniu w kraju tylko płonek z ziarnek drzew dzikich (lasowych) i uprasza PT. obszary dworskie, księży, nauczycieli ludowych i leśniczych o zgłaszanie się po wszelkie informacye pod adresem: Tow. zawodowych ogrodników we Lwowie.

Zarazem przypomina Wydział Tow., że termin zgłoszeń na wystawę owocową upływa z dniem 15. września br.

Iskierki.

U dentysty.

W zastępstwie dentysty przyjmuje pacyentów praktykantka dentystyczna.

Praktykantka. Niech pan siada.

Pacyent (z niedowierzaniem). Czy tylko pani będzie miała dość siły?...

Praktykantka (z pewnością siebie). O, bądź pan spokojny!..

(Pacyent siada, następuje moment operacyi — uwieńczony skutkiem).

Pacyent (zrywając się) Aj... ojoj... ach!... pani wyrwałaś mi zdrowy ząb... oj, oj!...

Praktykantka (z dumą). A widzi pan! A panu się zdawało, że ja nawet jakiemuś tam dziurawemu zębowi nie dam rady!..

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.